MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIX NR 32 WARSZAWA 30 LIPCA 1939 R CENA NUMERU 80 GR

O ENERGICZNE DZIAŁANIE

POLSKA nowa poszła w swej polityce wyznaniowej inną drogą, niż Polska dawna[1]). Uznała hierarchię Kościoła prawosławnego i jego samodzielność i niezależność, a tylko przecięła jego więzy z prawosławną hierarchią poza granicami Polski.

Nikt jednak nie może się łudzić, iż w ten sposób sprawa została wyczerpaną. Przeciwnie — to dopiero pierwsza karta została zapisana i zamknięta, pierwsza i bodaj nie najważniejsza.

W samej Cerkwi prawosławnej nurtują trzy główne prądy. Jedni ciągle jeszcze marzą o utrzymaniu jaknajwiększej łączności rzeczowej z Cerkwią rosyjską. Ułatwia im to znakomicie język cerkiewny, starosłowiański i odrębny kalendarz. Drudzy pragną z Cerkwi prawosławnej zrobić na Wołyniu i w ziemiach do Wołynia przyległych narodową Cerkiew ukraińską (znaną jest akcja posła Skrypnika i tow.), na Wileńszczyźnie i w Nowogródzkim narodową Cerkiew białoruską. Grupa trzecia chce nawiązać do starych tradycji Cerkwi prawosławnej na ziemiach litewsko-białorusko-ruskich — chce się zbliżyć do kultury polskiej. Spis z r. 1931 wykazał 497.290 prawosławnych (z ogólnej liczby 3.762.484), uważających język polski za swój język ojczysty — obok 696.397 „tutejszych" na Polesiu. W województwach północnych powstał Związek prawosławnych Polaków, domagających się wprowadzenia wszędzie do życia Cerkwi języka polskiego. Na razie język polski obowiązuje tylko w administracji tej Cerkwi, a tu i ówdzie w kazaniach. Dwaj nowo-wyświęceni biskupi prawosławni uważają się za Polaków. Nie mianowany jeszcze biskup prawosławny dla wojska będzie niewątpliwie Polakiem.

Prócz tych prądów, nurtujących wewnątrz Cerkwi, zanotować trzeba dwa inne, które wyszły poza cerkiew. To Kościół obrządku wschodniego, liczący 10.000 do 20.000 wyznawców. To powrót części prawosławnych wprost do Kościoła katolickiego. Prąd ten występuje silnie zwłaszcza na Wołyniu.

Przywiązujemy dużą wagę do — powrotu dziś prawosławnych, ale przed laty katolików, do Kościoła rzymsko-katolickiego. Przeciwstawiamy się akcji Kościoła wschodniego, słusznie niepopularnego w całej Polsce. Nie przesądzając przyszłości, dziś i jutro dużą wagę przywiązywać musimy do prądu polonizacyjnego w Cerkwi prawosławnej. Tego prądu nie może lekceważyć i Kościół katolicki, bo tą drogą najłatwiej dojść można i do unii.

Cerkiew grecko-katolicka jest członem Kościoła powszechnego, Zjednywać jej dla unii nie trzeba — wszak to na razie jedyny reprezentant unii w Polsce. Przemiany, jakim Cerkiew ta obecnie ulega, nie mogą być jednak obojętne również i dla Kościoła katolickiego. Cerkiew grecko-katolicka jest w swych szczytach opanowana przez nacjonalistów ukraińskich, którzy przyszłość swoją widzą w połączeniu ziem polskich z Ukrainą prawosławną. Kierownicy Cerkwi pragną więc po 1) jaknajjaskrawszego wytępienia wszystkiego, co przypomina latynizm i polskość; 2) jak największego zbliżenia Cerkwi grecko-katolickiej z Cerkwią prawosławną. Obydwa te cele leżą na drodze do wielkiej Ukrainy. Czy środki, zalecane przez obu braci Szeptyckich i przez UNSO, nie prowadzą w dalszych, ostatecznych, konsekwencjach, do utopienia cerkwi grecko-katolickiej w prawosławiu? Przywódcy Cerkwi grecko-katolickiej zapewniają i Rzym i Polskę i świat cały, że — wręcz przeciwnie, całe prawosławie pogodzą z Kościołem katolickim. Zapłaci zaś ten rachunek tylko Polska, tracąc ziemie wschodnie.

Nie wierzą w te zapowiedzi — nawet liczne i wpływowe czynniki Kościoła grecko-katolickiego.

[1]) Zamieszczamy dokończenie art. p. St. Rymara: „Nabrzmiałe zagadnienie". Obecnie daliśmy tytuł nowy poprostu dla odświeżenia kolumny tytułowej.

Ks. Grzegorz Chomyszyn, stanisławowski biskup grecko-katolicki, ogłosił 23 kwietnia 1931 r. list pasterski o bizantyniźmie. Po szerokim wstępie, poświęconej ostrej charakterystyce bizantymizmu, biskup pisze, iż bizantynizm „całą działalność" religijną oparł na zewnętrznych formach obrzędowych, pod którymi ukryła się zgnilizna i rozkład. Ten bizantyjski system zniszczył zawartość duchową człowieka, ufortyfikował się granitowym murem sztywnej i zwartej obrzędowości, uniemożliwiającej zjednoczenie z Kościołem katolickim. Znienawidził on ducha łacińskiego, ducha zachodu w Kościele rzymsko-katolickim. Bizantynizm nie jest niczym innym, jak do ostateczności zrealizowanym bolszewizmem. („Cytuję za Wiktorem Piotrowiczem „Wschodnie zagadnienia wyznaniowe", stronica 126 i nast.).

Ks. biskup Chomyszyn twierdzi, iż obrządek grecko-katolicki miał ducha katolickiego, ducha zachodniego, połączyć ze wschodnią obrządkowością. Nie może więc pogodzić się z akcją, prowadzoną w Polsce na rzecz „odłączenia" obrządku unickiego od „naleciałości łacińskich" i określa te usiłowania jako dążność do bizantynizmu. Bizantynizm, zdaniem biskupa, prowadzi w prostej linii do schizmy, która zawsze wieńczy usiłowania pod znakiem tego bizantynizmu prowadzone. Wprowadzenie obrządku wschodnio-bizantyjskiego do Kościoła katolickiego byłoby cofaniem się wstecz, byłoby rezygnowaniem z treści i posłannictwa katolicyzmu.

Stanowisko ks. biskupa Chomyszyna nie przekonało metropolity Szeptyckiego oraz biskupa Kocyłowskiego w diecezji przemyskiej. Brat metropolity, ks. Klemens Szeptycki, dziś *ihumen* zakonu Studytów, mianowany przez metropolitę prezesem „Ukraińskiego Instytutu Unijnego", wygłosił przy inauguracji wielką mowę, w której (cytuję za „Słowem Narodowym" Nr. 186 z 1939 r.)— oświadczył się za zbliżeniem formalnym — pod względem liturgii i t. d. — do prawosławia, by tym lepiej rzekomo móc nawracać do jedności kościelnej zbłąkanych chrześcijan schizmatyków".

Aby uzyskać zgodę Rzymu na te zmiany, O. Klemens udał się z listami brata osobiście do Rzymu i uzyskał tam posłuchanie u Ojca św. Piusa XII i u kardynałów Maglioniego i Tisseranda.

Nie mogli milczeć wobec jawnie podjętej akcji — jej przeciwnicy.

„Towarzystwo bezżennych księży im. św. męcz. Józafata" na swoim walnym zgromadzeniu w dniu 9 maja 1939 r. w Stanisławowie uchwaliło wysłać „list", a raczej memoriał do ks. kardynała Tisseranda, sekretarza dawnej komisji „*Pro Rusia*", noszącej dziś nazwę „Św. Kongregacji dla Cerkwi wschodniej". Aprobował tekst listu ks. biskup Chomyszyn. List podpisało 265 księży. Jest to więc kontrakcja ks. biskupa Chomyszyna i jego duchowieństwa. List ten ogłosił organ biskupa „*Nowa Zaria*", 2 lipca 1939 r.

Opisawszy dzieje zniesienia unii na terenie zaboru rosyjskiego, autorzy listu przystępują do opisu podkopań prawosławia pod Kościół unicki w b. Austrii. „Akcja zniesienia unii rozpoczęła się wówczas nietylko przy pomocy prześladowań, lecz głównie chytrym podstępem zbliżania Cerkwi unickiej do prawosławnej przez usuwanie z nabożeństw unickich i ksiąg liturgicznych wszelkiego rodzaju „latynizmów", zabraniano więc przyjmowania Komunii św. w pozycji klęczącej, zniesiono boczne ołtarze, zabraniano czytania nabożeństwa, usunięto ambony, konfesjonały, wprowadzano księgi liturgiczne, drukowane w Moskwie i t p".

W stuletnią rocznicę tych smutnych wydarzeń (dekretem carskim z r. 1839 zniesiono unię) podpisani „stwierdzają, że akcję taką prowadzono i na obecnych ziemiach południowo-wschodnich za czasów Austrii przy pomocy płatnych agentów. Z chwilą upadku carskiej Rosji praca tych agentów się urwała, natomiast wśród samych unitów powstała akcja obrzędowego purytanizmu, zmierzająca również „do usunięcia wszystkich latynizmów" pod pretekstem nawracania wschodnich prawosławnych. Gdyby zaś Sowiety uległy w bliskiej przyszłości rozbiciu, wówczas Rosja, która na ich miejscu powstanie, mieć będzie gotowe podłoże dla agitacji pod każdym względem, a to tym bardziej, że dzisiejsza akcja czyszczenia „latynizmów" ściele drogę orientacji rosyjskiej".

Idą następnie prośby do Stolicy Apostolskiej:

1) o wykreślenie z nabożeństw słów „prawosławie" i „prawosławny",

2) o wprowadzenie do modlitw Ojca św. tam, gdzie się wymienia cara, imperatora i hierarchów cerkwi,

3) o usunięcie z *jektenii* modlitwy o odpuszczenie grzechów Papieża,

4) o przywrócenie „liturgikon" z r. 1891, a w nim o umieszczenie nabożeństwa do Najśw. Serca Jezusowego i Chrystusa Króla,

5) o wszystkie praktyki kultu Najśw. Eucharystii,

6) o kult Marii Dziewicy z wszystkimi praktykami, jak Różaniec, kongregacje Maryjskie, Droga Krzyżowa i t. d.

7) o rozszerzenie Kultu św. Józefa Oblubieńca,

8) o utrzymanie ołtarzów bocznych, ambon, konfesjonałów, „*kywot*" dla przechowywania Najśw. Eucharystii i t. p.

9) o utrzymanie odzieży kapłańskiej takiej, jak księża łacińscy, bo brody, długie włosy, inne nakrycie głowy i t. p. upodobniłyby ich zupełnie do popów prawosławnych, a wśród wiernych wywołałyby zdziwienie, a nawet zamęt i zgorszenie.

Takich próśb jest dużo. A oto ich uzasadnienie.

„Jesteśmy prawie od 400 lat (unia brzeska 1596) zjednoczeni z kat. Kościołem i za cały ten czas nietylko zżyliśmy się z duchem kat. Kościoła, lecz także rozwinęliśmy obrządek według naszych potrzeb życia duchowego. Za tym powracanie znowu do form pierwotnych byłoby nienaturalne i szkodliwe. Schizma bowiem zawsze brała swój początek z zacierania różnic pomiędzy unią a prawosławiem. My stanowimy masę katolicką, która liczy ponad 5 milionów wiernych tu w Europie i na emigracji. Dlaczegoż więc mielibyśmy się upodobniać do małych grupek wschodnich unitów, jak np. do Chaldejów, Koptów, Syryjczyków czy innych? Niechaj oni raczej upodobnią się do nas, skoro chcą wzmocnić się i utrwalić w katolicyźmie. Poza tym zjednoczenie z Cerkwią katolicką i pozostanie na martwym punkcie obrzędowym — to nie rozrost i nie wzmocnienie wiary i duchowego życia, ale zaskorupienie w martwej formie, podobnej do zabalsamowanej mumii".

A kończą tak:

„Zaczyna u nas wchodzić w użycie „obrzęd bizantyńsko-słowiański“. Tej nazwy boimy się, bo ów bizantyńsko-słowiański obrzęd — to tylko przeinaczony synodzialno-rosyjski obrzęd. Przyczym sama nazwa „bizantyński“ stanowi odium i ,przypomina ducha bizantyńskiego, co uwiódł i oderwał Wschód cały od Kościoła katolickiego.

Dotychczas używana była nazwa: obrzęd grecko-katolicki“.

W jednym ze swoich publicznych wypowiedzeń ks. biskup Chomyszyn oświadczył, że przyjął nazwę Ukraińca w miejsce Rusina dlatego, aby się mocniej odróżnić od Rusi i prawosławia.

Stanowisko grupy ks. Chomyszyna jest stanowiskiem, zdecydowanych katolików ukraińskich, silnem przez to, że stoi pilnie na straży wierności dla Kościoła powszechnego. Jest to równocześnie grupa naogół lojalna wobec Polski. Ale nic — więcej. Nie jest to bynajmniej grupa polonofilska.

W dniach 2 i 3 lipca 1939 zjechało się duchowieństwo grecko-katolickie z diecezji przemyskiej i łemkomskiej. Zjazd był nieliczny. Przewodził mu b. poseł „Chliborobów“, obecnie dziekan wojsk polskich, ks. Ilków. Zjazd ten „był wyrazem stanowczego ostrzeżenia Polski ze strony grecko-katolickiego duchowieństwa przeciw wszelkim nieprawościom, które od pewnego czasu zaczęły wżerać się gwałtownie w organiczny ustrój grecko-katolickiej cerkwi, grożąc jej powolnym rozłamem. Na zjeździe tym poddano szczegółowej analizie politykę administracyjną, personalną, wychowawczą i gospodarczą w diecezjach lwowskiej i przemyskiej, tudzież zaprotestowano ostro przeciw zuchwałym nadużyciom grecko-katolickiej Cerkwi, jej kultu religijnego i akcji katolickiej dla celów politycznej roboty ukraińskiej, godzącej bardzo często w państwowy ustrój Polski — przeciw napaściom kół ukraińskich na Stolicę Apostolską i innym. Zjazd przemyski zajął się również aktualnymi sprawami. W przyjętych rezolucjach wezwał lud ruski do poparcia Polski ze wszystkich sił, Polska bowiem jest jego wspólną własnością, której powinien on bronić, choćby za cenę własnego życia czy też na gruzach swego domu“. Zjazd zakończono odśpiewaniem „Boże, coś Polskę“.

Bezpośrednio ze zjazdu przemyskiego część uczestników wyjechała na Jasną Górę, gdzie połączyła się z liczniejszą pielgrzymkę grecko-katolików. W Częstochowie również podkreślano silnie tak polskie, jak i zachodnio-katolickie stanowisko tej grupy.

Należy poza tym podkreślić, iż we Lwowie powstało „Towarzystwo Polaków obrządku grecko-katolickiego“. Na jego czele stanął profesor i dziekan wydziału humanistycznego Uniwersytetu lwowskiego, a zarazem radny Stronnictwa Narodowego, Kuryłowicz.

Niezależnie od tej akcji rozwija się pomyślnie Związek szlachty zagrodowej.

No więc Polska już dziś wśród wyznawców obu Cerkwi prawosławnej i unickiej ma duże ośrodki, z którymi porozumienie jest możliwe. Ma możność stworzenia już dziś poważnych organizacji Polaków-wyznawców tych Cerkwi. I ma — trochę czasu.

Ale „czas ucieka“. Trzeba go wyzyskać i dla dobra zjednoczonej Polski i dla Kościoła katolickiego przez szybkie, celowe i energiczne działanie.

STANISŁAW RYMAR

W TRZECIĄ ROCZNICĘ WYBUCHU WOJNY DOMOWEJ W HISZPANII

(18. VII 1936—1939 r.)

WOJNA w Hiszpanii zakończyła się przed trzema miesiącami pogromem żydo-komuny, pozostawiając za sobą gruzy i zgliszcza spalonych przez komunistów kościołów, trupy poległych w bratobójczej walce i pomordowanych przez komunistów, którzy specjalnie starali się wytępić duchowieństwo.

Jaki jednak był powód tej strasznej i krwawej wojny? Jaka jej geneza. Co do tego trzeba sięgnąć do historii z niedawnych lat. Łatwo znajdzie się na to odpowiedź: b r a k i d e i narodowej, brak zorganizowanego stronnictwa opartego na tej idei.

Hiszpania aż do roku 1923 pozostawała pod konstytucjonalnymi rządami nieudolnego króla Alfonsa XIII-go. Władca ten w czasie Wielkiej wojny wbrew sympatiom większości narodu hiszpańskiego prowadził politykę germanofilską, nie mogąc tym oczywiście zdobyć popularności. Po Wielkiej Wojnie za zgodą Francji otrzymał protektorat nad plemieniem Rifenów w Afryce; ponieważ próba podbicia tego wojowniczego ludu przyniosła straszną klęskę, parlament hiszpański powołał komisję z 21 członków, która miała zbadać kwestię winy nieudanego przedsięwzięcia. Ponieważ w miarę postępowania śledztwa wychodziła na jaw wina nieudolnego króla, który mieszał się ciągle do ruchów wojskowych, nie mając po temu odpowiedniego wykształcenia, Alfons XIII zdecydował się na poparcie zamachu stanu Primo de Rivery w Barcelonie dnia 13.IX 1923 r. i oddał temuż rządy z nieograniczoną władzą nad państwem.

Primo de Rivera objąwszy rządy, wziął za przykład Mussoliniego. Nie posiadając zaś jego zdolności, naśladował go tylko zewnętrznie, nieudolnie; wprawdzie urzędowo był nazywany „zbawcą Hiszpanii", ale w istocie był tylko nędznym komediantem-kabotynem.

Jeszcze w czasie zamachu barcelońskiego „potępił wszystkie poprzednie rządy, oświadczając, że składają się one ze złodziei, których należy ukarać. Oświadczenie to wywołało powszechne zdumienie, zwłaszczcza, że rządy sprawowali ludzie nieskazitelni i zasłużeni". (Historia XX-go wieku H. Mościckiego i J. Cynarskiego, str. 582).

Cały przebieg 7 letnich rządów Primo de Rivery był jedną nieprzerwaną tyranią. Choć „dy-

ktator" parę razy zapewniał, że dyktatura będzie tylko przejściową, jednak żal mu było rozstać się z władzą, w której jak każdy tyran zasmakował, i ciągle ją przedłużał aż do ostatecznego uporządkowania stosunków hiszpańskich przez odpowiednie wychowanie narodu. Ale to „zbawcy Hiszpanii" jakoś nie szło; „zbawca" nie umiał się wziąć do celu inaczej, jak tylko prześladując ludzi odmiennych przekonań politycznych, robiąc gwałty polityczne. Jednym z pierwszych było odebranie przez oficera aktów komisji 21, które od tego czasu zaginęły bez śladu. Cel był jasny, chodziło o uchronienie króla, cichego sprzymierzeńca Primo de Rivery, od kompromitacji.

To oczywiście nie wpłynęło na uzdrowienie stosunków wewnętrznych i zewnętrznych. A między Primo de Riverą a Mussolinim istniała wielka różnica. Oto ten ostatni zanim doszedł do władzy rozpoczął organizowanie partii faszystowskiej (podobnie czynił i Hitler). Z chwilą, gdy doszedł do władzy miał do 40.000 zorganizowanych faszystów, ludzi ideowych, oddanych mu bezwzględnie. Ci stanowili zdrowe jądro partii, do której po zwycięstwie musiała się przecież wcisnąć pewna ilość elementu oportunistycznego, gorszego. Dlatego też Mussolini miał do swego systemu silną i zdrową podstawę.

Inaczej było z Primo de Riverą. Ten gdy zrobił zamach (a raczej inscenizację zamachu), miał za sobą tylko „grupę oficerów-spiskowców, którym się wydawało, że potrafią rządzić krajem lepiej, jak znienawidzeni cywile i król". (Historia XX wieku, str. 584).

Wzorując się na Mussolinim, wypowiedział wojnę partiom, a że sam nie miał własnej, zaczął ją dopiero organizować pod szumną nazwą „Unii Patriotycznej". Po za nazwą nic ona jednak z patriotyzmem nie miała wspólnego; odrazu zaczęli się do niej cisnąć oportuniści, dybiący na posady, posadki, synekury i awanse; nikt dla idei nie chciał do niej należeć.

Nie mając zatym zdrowych podstaw, jak faszyzm włoski, stała się niebawem wrzodem w ciele narodu hiszpańskiego, zatruwając swym oportunizmem życie społeczne.

Z biegiem czasu nie następowała poprawa; wojna w Afryce brała zły obrót, choć przecież rządy mieli w ręku wojskowi; sytuacja finansowa pogarszała się z dniem każdym; jedynie dobre było położenie oficerów, których Primo de Rivera hojnie wyposażał. „Do Unii patriotycznej zgłaszały się coraz gorsze jednostki, a przyjaciel dyktatora, minister policji, generał Martinez Anido, dokonywał za pośrednictwem wynajętych zbirów morderstw politycznych na przeciwnikach dyktatury". (Historia XX wieku, str. 586).

Społeczeństwo zniechęcało się coraz bardziej do systemu Primo de Rivery; ponieważ jednak dyktatura tegoż miała pozornie cechy nacjonalistyczne, a innej partii, innej idei narodowej nie było, przeto społeczeństwo, niezadowolone z istniejącego stanu rzeczy *faute de mieux*, zwracało się do idei lewicowo-radykalnych, kierowanych przez żydo-masonerię, która miała łatwe pole do działania wśród zmęczonego i prześladowanego dyktaturą społeczeństwa hiszpańskiego, ukazując mu miraże wolnej, radykalnej, socjalistycznej i parlamentarnej Rzeczypospolitej.

Opozycja zaczęła dawać coraz częściej znać o sobie. Przede wszystkim doszło do rozruchów na uniwersytetach między młodzieżą. Spowodowane to było tym, iż Primo de Rivera dał prawo kilku wyższym szkołom, kierowanym przez Jezuitów, wydawania dyplomów naukowych, mających równe znaczenie z patentami uniwersyteckimi, co zmniejszało oczywiście szanse zarobkowej fruktyfikacji wiedzy nabytej na uniwersytecie. Represje przeciw młodzieży akademickiej wywołały rozruchy w miastach uniwersyteckich, gdyż ludność miast i profesorowie stawali po stronie młodzieży.

Niestety z tych objawów niezadowolenia korzystała żydo-masoneria, zatruwając coraz więcej ducha hiszpańskiego swoim jadem.

W wojsku, dotąd wiernym dyktaturze, zaczęły się tworzyć spiski — i w końcu król zrozumiał, że dalsze trwanie dyktatury może grozić monarchii. W końcu 28.I 1930 r. dał dymisję „Zbawcy Narodu", „mężowi opatrznościowemu". Fałszywy geniusz, przed którym doniedawna wszystko drżało, by nie dostać się do obozów koncentracyjnych na wyspach Kanaryjskich, musiał z kraju chyłkiem uciekać. Niebawem dokonał życia na wygnaniu w Paryżu.

Było jednak zapóźno, by ocalić monarchię. Żydo-masońska agitacja zbyt silnie zdołała obałamucić społeczeństwo hiszpańskie. W półtora roku niespełna po upadku Primo de Rivery nastąpiła rewolucja, która obaliła monarchię i ustanowiła Rzplitą.

Nie dała ona jednak spodziewanego „raju" i wolności społeczeństwu hiszpańskiemu. Lewica, popierana przez żydów i masonów, doszedłszy do władzy, zaczęła zaprowadzać swe porządki, odnosząc się przede wszystkim wrogo do religii. Tłumy podburzane przez komunistów i syndykalistów rzuciły się na klasztory i kościoły, paląc je, a mordując zakonników i księży. W kraju zamiast dyktatury zapanowała anarchia. Rząd republikański nie umiał sobie z tym dać rady, tymbardziej, że głównym jego celem było burzenie wszystkiego, co pozostało z dawnych porządków społeczno-politycznych w Hiszpanii, choćby istniały one jeszcze przed Primo de Riverą.

Doszło do nowych spisków i zamachów wojskowych, jak zamach w Barcelonie gen. Baleta na prezydenta autonomicznej Katalonii Companysa. Komuniści też wywoływali rozruchy w Asturii, pragnąc niedwuznacznie opanować całą władzę jak w Rosji, uważając widocznie rządy republikańskie za kiereńszczyznę, która im powinna utorować drogę do władzy. W społeczeństwie jednak zaczęło się pewne otrzeźwienie, co było widać po wyborach w r. 1933, w którym dały znaczne wzmocnienie prawicy. Niestety jednak, lewica nie chciała odejść od władzy i w r. 1936, gdy wybory do parlamentu dały znów przewagę prawicy, unieważnieniem list opozycyjnych zdobyła sobie sztuczną większość. Tego jednak rodzaju postępowanie unicestwiło nadzieje tych patriotycznych elementów w Hiszpanii, które pragnęły dojść do władzy drogą spokojną i legalną. Ponieważ rząd hiszpański po sfałszowanych wyborach z 1936 r. nie mógł już być uważany za legalny, przeważyło zdanie, że gwałt można i należy nawet, gwałtem odbić. Kroplą, która przeważyła miarkę nieprawości lewicy hiszpańskiej, było zamordowanie monarchisty Calvo de Sotelo.

I oto nastąpił zamach generała Franco i nad

Hiszpanią zapłonęła łuna trzyletniej prawie wojny domowej, która na szczęście nie skończyła się zwycięstwem radykalnej Republiki, która w razie zwycięstwa zostałaby rychło zmieciona przez komunę.

Wojna ukończona, Hiszpania spustoszona, a mogą ją podnieść z ruiny jedynie rządy nie tylko „silnej ręki" (komunistyczne rządy są pozornie rządami „silnej ręki") ale mądre. Ażeby były mądre, muszą się oprzeć na idei narodowej.

Nie ma wątpliwości, że generał Franco, podnosząc swój sztandar, podniósł go w imieniu idei narodowej, dla dobra Ojczyzny, a nie dla prywaty.

Dlatego też w trzyletnią rocznicę początku wojny domowej każdy szczery narodowiec powinien mu życzyć, by odbudował szybko Hiszpanię z gruzów i poprowadził swój naród do wielkości i dawnej potęgi.

Dr. WŁADYSŁAW WIELOWIEYSKI

NOWY TALENT NA WIDOWNI

WITOLD BIEŃKOWSKI, autor świeżo wydanej powieści „Ich dom"[1]), jest znany czytelnikom z szeregu ciekawych wystąpień publicystycznych, przede wszystkim na terenie Poznania. Powieść natomiast stanowi jego debiut literacki — debiut niewątpliwie udany, choć nie wolny od usterek.

Powieść otrzymała jedną z nagród na wielkim konkursie jubileuszowym, zorganizowanym przed dwoma laty przez księgarnię Św. Wojciecha. Obecnie, po kolei, ukazują się w druku powieści, które zajęły wśród pozycji nagrodzonych dalsze miejsce. Wyniki konkursu zostały ogłoszone na wiosnę 1938 r. Powieść Bieńkowskiego pojawiła się latem 1939 r. Inną, nagrodzoną na konkursie powieść Marii Jelewskiej „Złamaną szablą" drukuje dopiero obecnie „Kurier Poznański".

Narzuca to obserwatorowi szereg uwag — raczej smutnych. Twórczość pisarzy — katolików, pragnących tworzyć w duchu katolickim, jest bardzo szczupła. Dwa, ogłoszone w ciągu ostatnich lat konkursy na powieść o tendencjach katolickich, miały za zadanie twórczość tę pobudzić i ożywić, zastrzykując — że się tak „ekonomicznie" wyrażę — dawkę pewnego kapitału w organizm twórcy, bardzo tego kapitału potrzebujący dla kontynuowania pracy literackiej. Mniejsza z tym jak wypadło pokłosie konkursów. Fakt jest tylko faktem, że plon pracy nagrodzonych autorek i autorów pojawia się na rynku księgarskim dość późno, a napewno zbyt późno ze względu na samych pisarzy, dla których wydanie ich pierwszej powieści i oczekiwana krytyka stanowi niejednokrotnie decydujący moment w życiu. Pisarz dojrzewa w ogniu krytyki, natomiast często oczekiwanie hamuje jego twórczość.

Najciekawszą postacią powieści Bieńkowskiego jest Maria. Aczkolwiek akcja płynie niejako poza nią, w rzeczywistości jednak nurt zdarzeń nagina się do jej postaci, jak rzeka, która otacza łukiem, rzucony na jej drogę głaz. Maria jest także najszczerszą postacią powieści. Józef, Zośka — to młode pokolenie, wychowane w mieście, w warunkach współczesnego koczownictwa. Nie rozumie ono cichej walki, która się toczy między Marią, a Bachmurą, to też operuje tylko frazesami. Subtelnie wycieniowana sylwetka psychologiczna Józefa kryje w rzeczywistości pustkę, beztreściwego współczesnego życia człowieka, goniącego za interesami i czyniącego sobie z tych interesów cel najwyższy. To jeszcze jedna postać z galerii typów, które — rzecz dziwna — stały się reprezentatywne dla twórczości młodego pokolenia pisarzy katolickich (vide „Michał" Znanieckiego). Zośka — blady, ledwo zarysowany cień — pozbawiona jest nawet obciążenia dziedzicznego, które dźwiga na swych barkach Józef. Syn Marii to dekadencki pogrobowiec, wydziedziczonych z ziemi i karmiących się wyłącznie poczuciem własnej krzywdy, ludzi. Zośka już nauczyła się przystosowywać do nowych warunków życia. Stanowi pierwsze pokolenie rasy wydziedziczonych i nieodczuwających i swego wydziedziczenia.

Walka właściwa, jak powiedziałem, toczy się między Marią a Bachmurą. Maria wraca do ziemi pełna nieprzewalczonych jeszcze przesądów, tych samych przesądów, które wykopały przepaść między nią a Janem. Symbolem postawy Marii jest ta kolumna ale z czarnego dębu, ten grobowiec, w którym nie chciał spocząć zakochany w lampie naftowej i w podłodze z prostych, sosnowych desek, Jan. A Bachmura wraca do ziemi również z całym naręczem, ale już innych przesądów, tych, którymi go napoiła praca na gruncie miejskim. Właściwie to ani Bachmura, ani Maria nie rozumieją ziemi. *Jeszcze* nie rozumieją. Oboje stoją naprzeciwko siebie, jakby przedstawiciele dwóch stron barykady. Dla nich Rutka stanowi *raczej symbol* walki, niż *właściwą treść* walki. O Rutkę nie walczą — walczą natomiast o pozycję społeczną—walczą, dźwigając równocześnie całe zadawnione brzemię uraz, goryczy i złości.

Właściwie najwinniejszą jest Maria. To jej egoistyczne pożądanie Rutki pcha słabego i pozbawionego moralnego pionu Józefa do podjęcia nieuczciwej tranzakcji. Walka o Rutkę przemienia się w walkę z Bachmurą, Potem, zdobywszy Rutkę, Maria w dalszym ciągu pieści w umyśle marzenie o życiu na roli, bez starania o nią. Już nawet Józef zdołał coś nie coś zrozumieć, gdy rzuca frazesy o intensyfikacji gospodarstwa — Maria jeszcze i wówczas nic nie rozumie.

Maria i Józef są skazani na odejście. Tego wymaga sprawiedliwość. Na ekspiacyjny gest Marii jest już zapóźno. Natomiast Józef nie jest zdolny do żadnego wielkiego aktu. To płytki umysł niezdolny pojąć krzywdy, jakiej o mało nie uczynił Zośce.

Rzecz szczególna, Bieńkowskiego poznaliśmy jako publicystę katolickiego, to znaczy oświetla

[1]) Witold Bieńkowski „Ich dom" str. 311, wyd. Św. Wojciecha, Poznań 1939 r.

jącego omawiane problematy z punktu katolickiego. Natomiast w powieści — i to w powieści podnoszącej zdecydowanie pewien problem—trudno nam jest odnaleźć katolickie stanowisko.

Bo, że Józef nie ma nic w sobie z postawy świadomego katolika, to należy uważać za rys właściwy. Fałszem psychologicznym „Michała" Znanieckiego był właśnie jego duchowy renesans—niepoparty żadnym przeżyciem. Że Maria nie umie się na nic zdobyć poza powierzchownie podjętymi aktami dobroczynności — mającymi nota bene mocno teatralny charakter — to także rzecz zrozumiała i prawdziwa. Maria z całym swoim przeczuleniem jest właściwie wielkim egoistycznym dzieciakiem, który chce za wszelką cenę Rutki, ale otrzymawszy ją, nie będzie wiedziała co z nią robić.

Ale Bachmura? Bachmura, na dobrą sprawę jest bardzo piękną postacią. Walczy o byt w ciężkich warunkach i dochodzi do znaczenia. Lokuje kapitał w bezwartościowej Rutce, aby zapewnić „pozycję" córce. Nie zna się na uczuciach, nie docenia zaciętej dumy Marii i Józefa, ale przychodzi chwila, że zaczyna rozumieć ziemię, zwycięża Marię.

I ten Bachmura u Bieńkowskiego jest postacią którą autor, po prostu, jakby z sadyzmem, oczernia. Bachmura jest obrzydliwy, Bachmura nie tylko nosi jakieś niemile brzmiące nazwisko, lecz także budzi swoim wyglądem wstręt, swoją postawą nieufność, swoim przywiązaniem do pieniędzy i interesów pogardę. Wogóle Bachmura mógłby powiedzieć swemu twórcy: przepraszam, że żyję...

Szkoda. Bachmura jest dobrze pomyślaną sylwetką, a powieść mimo wielu niepotrzebnych dłużyzn — utworem ciekawym. Język Bieńkowskiego jest ładny. Temat powieści niebanalny. Problem nowy i ciekawy. Opracowanie sylwetek staranne.

Bachmura powinien był wyrosnąć. Problem zostałby pogłębiony i to w duchu katolickim. Tymczasem autor, znęcając się nad ojcem Zosi na 300 kilku stronach, nie sądził chyba, że wystarczy poza niedopowiedzianymi zdaniami wyjaśnić jego odrodzenie wewnętrzne w obliczu ziemi?

Myślę, że jest to jednak fragment, szczegół, który nie powinien tak znów mocno zaważyć na świeżym i mocnym talencie Bieńkowskiego. Tym bardziej, że „Ich dom" to jest „dawny" Bieńkowski—z przed 3—4 lat. Przy dobrej koniunkturze, za rok, dwa, będziemy mogli zobaczyć o ile się zdołała rozwinąć jego twórczość.

JAN DOBRACZYŃSKI

FRYDERYK CHOPIN

QUASI UNA FANTASIA (Ciąg dalszy)

MĘŻCZYZNY bardzo ważną czynnością jest zabijać wrogów. Ale to nie jest wszystko jedno jakim sposobem zabijać wrogów. Bo jeśli zabijać wrogów białą bronią, to rusza się ciało i ciało do tej czynności musi być silne, zręczne i doskonałe. Natomiast jeśli zabijać wrogów bronią palną, to ciało w tem nie bierze wielkiego udziału i naprowadzanie muszki na cel jest to drobna praca ręczna i praca ta niebardzo jest godna mężczyzny i jego postawy i przypomina natrafianie nitką do ucha igielnego. Wprawdzie i w wojnie nowoczesnej ciało poddane jest wielkim trudom, ale wszystko jedno samo zabijanie nie odbywa się dzisiaj za pomocą energji mięśniowej, lecz za pomocą prochu i innych środków wybuchowych, czyli za pomocą energji chemicznej. Wojownik dzisiejszy jest to mechanik przy maszynie do zabijania i choć cierpi on różne niewygody i naraża się na śmierć, to jednak nie musi on wcale mieć doskonałego ciała, a mimoto może dobrze kierować tą maszyną. I oto więc żeby walczyć białą bronią, trzeba mieć doskonałe ciało i zdrowe nerwy i prawdziwą dzielność i odwagę i trzeba mieć cnoty rycerskie, bo nie można drżącą ręką dobrze ciosu zadać. Ale dla wojowania bronią palną cnoty rycerskie niebardzo są potrzebne, bo oficer dzisiejszy kierujący ogniem baterji może obliczyć na mapie odległość do pozycji nieprzyjacielskich zupełnie dobrze i drżącą ręką i zniszczyć nieprzyjaciela. Wojna nowoczesna polega na skuleniu się i wytrzymywaniu strachu, ale żeby walczyć białą bronią trzeba mieć większą wartość, bo trzeba umieć w obliczu śmierci działać zręcznie mięśniami całego ciała i trzeba umieć parować śmiertelne ciosy przeciwnika i ze swojej strony jemu zadawać ciosy śmiertelne, obmierzone artystycznie i to jest właśnie prawdziwa dzielność rycerska. I oto w walce na białą broń najważniejsza rzecz jest to cnota rycerska i dlatego w Europie, dopóki walczono białą bronią, było rycerstwo, a potem, gdy wymyślono proch i wprowadzono broń palną, cnoty rycerskie zaczęły ważyć coraz mniej. Potem rycerstwo zginęło zupełnie i okazało się nawet celowem robić pobór i brać pod przymusem chłopstwo do wojska, bo tłuszcza taka, którą w walce na białą broń rozpędziłaby z łatwością nieliczna nawet garstka rycerzy, strzelając, chociażby z zamkniętemi ze strachu oczami, stała się w Europie nowoczesnej narzędziem walki najbardziej skutecznem i nawet jedynem.

I tak oto zginęło w Europie rycerstwo i zginęła wszelka szlachetność, bo przestały poruszać się ciała przy zabijaniu wrogów. I oto zarzucono barwny strój szlachecki, a zaczęto ubierać się na czarno, albowiem do barwnego stroju ciało ma prawo wówczas tylko jeśli rusza się. I tak oto zmieniła się dawna Europa na Europę nowoczesną.

Taka jest historia Europy.

Dawniejszy strój szlachecki był to strój klasowy i był to jakgdyby uniform stanu szlacheckiego, a potem w Europie zaczęto nosić rozmaite fraki, surduty i marynarki i to nie jest uniform jakiegoś stanu, lecz nosi je każden kto chce. Nazywa się to „ubranie cywilne" i wkłada je „oby-

watel", a to znaczy każden mieszkaniec ziemi, każda istota dwunożna, chociażby egzotyczny cudzoziemiec, chociażby żyd, albo murzyn. Chłopi gdzie niegdzie jeszcze i dzisiaj noszą swój uniform stanowy, czyli strój ludowy, ale stanów dzisiaj niema i masa ludzka ubrana „po cywilnemu" zalewa potrochę wszystko [1])

Zamiast podziału na szlachtę i na chłopów jest teraz podział na pracowników intelektualnych i na pracowników fizycznych. Pozornie podział ten nie jest zły, bo jest jakgdyby naturalny, bo w człowieku bardzo wyraźnie są oddzielone te dwie części, a mianowicie rozum i ciało. Ale w rzeczywistości podział ten daje bardzo złe rezultaty, bo jednych ludzi pozbawia rozumu, a drugich ciała. Chyba właśnie dlatego i zły jest ten podział, że te części człowieka, czyli rozum i ciało są już i tak bardzo mocno oddzielone od siebie i dlatego jeśli człowiek zawodowo zaczyna pracować jedną z tych części, to część ta rozrasta się i odrywa się od tej drugiej jeszcze bardziej, a ta druga zamiera. I dlatego pracownicy intelektualni są to ludzie jakgdyby bez ciała i są to degeneraci, a pracownicy fizyczni są to ludzie jakgdyby bez rozumu i są to bałwany. Demokracja kasując stany osiągnęła poniekąd swój ideał równości ludzkiej, bo bałwan czy degenerat to chyba jedna wartość. Ale pracownik intelektualny jest chyba większym degeneratem, niż pracownik fizyczny bałwanem, bo rzadko bywa i przy dzisiejszem uprzemysłowieniu taka praca fizyczna, w której myślenie i pomysłowość wcale nie są potrzebne, natomiast prawie wszyscy pracownicy intelektualni są pozbawieni pracy ciała zupełnie. I dlatego degeneracja pracowników umysłowych, czyli tak zwanej inteligencji jest bardzo wielka. A inteligencja rządzi światem, jeśli można to co dzisiaj dzieje się tak nazwać, i degeneracja inteligencji udziela się wszystkim ludziom i degeneracja inteligencji jest to znamię nowoczesnego świata. I dlatego trzeba tu dokładnie wytłumaczyć co to jest, że ludzie są bez ciała. co to jest degeneracja inteligencji.

Ciało to nie jest ważna rzecz, bo ciało ginie i umiera, albo i z woli człowieka bywa oddane na śmierć przez rycerza i męczennika. Ale jeśli człowiek pracuje tylko rozumem i nie porusza ciałem i praca jego odbywa się bez dotykania ciałem, to człowiek nie ma kontaktu z największą prawdą. Albowiem największa prawda dla człowieka jest to odczuwanie zmysłami, jest to to, do czego można dotknąć palcami. I trzeba powiedzieć: i Pan Bóg jest to jakgdyby mrzonka w porównaniu z tem, do czego można dotknąć palcami. Z człowiekiem, który nie wierzy w Pana Boga, można jeszcze rozmawiać, albo można go bić i tak nauczyć go rozumu, ale o warjacie mówi się, że „postradał zmysły" i z nim porozumieć się nie można i bić go też nie godzi się. Wszędzie prawda jest ta sama, czy na tym, czy na tamtym świecie, czy gdziekolwiekbądź, ale tutaj na ziemi prawda jest tak pokazana, jest tak objawiona, jest tak p r z e ł a m a n a, że największa, najlepsza i najprawdziwsza jest to to, do czego człowiek może dotknąć, jest to jego odczucie dotykowe. I największy święty wierzy więcej w swoje palce, niż w Pana Boga. I oto jeśli człowiek pracuje tylko rozumem i nie porusza ciałem i nie ma odczucia dotykowego, to człowiek oderwany jest od największej prawdy. Dawniej szlachta miała odczucie dotykowe, bo walczyła białą bronią i dlatego dawniej była mądrość i kultura, a dzisiaj przy podziale ludzi na pracowników intelektualnych i na pracowników fizycznych w samej zasadzie tego podziału leży to, że pracownik intelektualny pozbawiony jest odczucia dotykowego i kontaktu z największą prawdą. I jest to jakgdyby naigrywanie się z człowieka i z Europy, bo oto ci ludzie, to znaczy pracownicy umysłowi, co przeznaczeni są do tego, żeby pracować dla mądrości i dla kultury, ci oto ludzie nie mają łączności z największą prawdą i z najpewniejszą rzeczywistością. I jasne jest to, że wówczas kiedy ludzie w Europie przestali dotykać rzeczywistości, przestali dotykać ostrzem miecza rany, kiedy skończyła się walka białą bronią, to stracili pewność siebie i wówczas pojawiły się różne idee demokratyczne i ludzie zaczęli uchylać się od panowania nad narodem, a zaczęli wierzyć w wolę ludu i w inne głupstwa. I oto słowa: człowiek bez ciała oznaczają, że rozum, świadomość, duch, dusza, czy coś takiego, jednem słowem c z ł o w i e k jest pozbawiony odczuć dotykowych, czyli poczucia realizmu, prawdy, rzeczywistości, czyli skarbu, który człowiek ma od ciała. Tak oto człowiek ma ciało, ale nie korzysta od ciała i wobec tego niewiadomo poco człowiek ma ciało i niewiadomo poco człowiek urodził się. Człowiek, który pracuje tylko rozumem i nie porusza ciałem i nie ma odczuć dotykowych, czyli inteligent myśli dużo i szybko, jeśli to jest myślenie, bo jest to obracanie pojęciami jakoś bez związku z rzeczywistością. Myślenie inteligenta podobne jest do obracania się szybko kół lokomotywy na oblodzonych szynach. I żeby obracanie się kół lokomotywy było pożyteczne, musi spotkać odpowiednią szorstkość szyny i podobnie myślenie jest dobre i prawdziwe, jeśli rozum jest obciążony poruszaniem ciała i zasilony odczuciami dotykowemi. Gdy na świecie jest obracanie pojęciami, które nie są dobrze związane z rzeczami, to i język nikczemnieje i z języka robi się żargon inteligencki. Żargon inteligencki panuje dzisiaj i jeszcze ze swojej strony psuje człowieka i wszelką mądrość. Bo trudno jest dzisiaj powiedzieć coś czy napisać, bo w ustach jest pełno błota, czyli zasłyszanych żargonowych wyrażeń i trzeba długo pluć to błoto, aż znajdzie się prawdziwe słowo. A wreszcie osądzić myślenie inteligentów trzeba bardzo surowo, bo w myśleniu żadną miarą ilość nie zastępuje jakości. Po tem, co tu napisano, trzeba jeszcze napisać, że myślenie inteligenckie daje jeszcze jedną biedę, a bieda ta jest to schorzenie i zepsucie ciała. Bo jeśli człowiek pracuje rozumem bez poruszenia ciałem i bez odczuć dotykowych, to trudno jest mu przerwać pracę i pracuje on nieustannie i wówczas też, kiedy powinien spać. Bo ten, co przy pracowaniu rozumem rusza się i otrzymuje odczucia dotykowe, gdy położy się i przestanie ruszać się i przesta-

[1]) Spotyka się dzisiaj dosyć często usiłowania, żeby zachować ginący strój ludowy (i wogóle sztukę i kulturę ludową) i są nawet instytucje, które tem zajmują się. Ale to wszystko jest to nonsens, bo nie można zachować uniformu stanowego, jeśli ginie stan. Piękno kolorowego stroju chłopskiego jest to tylko forma czegoś dobrego, co było dawniej, lecz co już minęło, a szpetota ubrania nowoczesnego jest to też tylko forma zła nowoczesności i zamiast bawić się w folklor i w konserwowanie form bez treści lepiej jest pomyśleć o tem, jak stworzyć treść, to znaczy coś, co stworzy, skonstruuje naród, stany i stroje stanowe.

nie otrzymywnć odczucia dotykowe, przestaje też i myśleć, bo nie jest przyzwyczajony myśleć bez poruszania się i bez odczuć dotykowych i wobec tego prędko zasypia. ale inteligent spać nie może, bo nauczony jest myśleć bez poruszania ciałem i bez wrażeń dotykowych, toteż i — przyjęcie pozycji leżącej nie przerywa myślenia, lecz raczej je wzmaga, bo przy leżeniu większy jest dopływ krwi do mózgu. Taksamo i jeść dobrze inteligent nie może, bo żeby dobrze jeść trzeba być tak samo jak i do spania uspokojonym od myślenia. Inteligenci mają trudności w jedzeniu więc pokarmy dla nich przygotowują się tak, żeby ułatwić jedzenie, żeby nie trzeba było długo gryźć i żuć i żeby części odżywcze były mocno w nich skondensowane, to znaczy żeby można było nasycić się przełknąwszy małą obiętość pokarmu. Taki sposób odżywiania się, wiadomo, jest szkodliwy, a i poczucie estetyki jedzenia naucza nas, że jedzenie musi być jakgdyby aktem siły i że pokarm człowieka musi mieć dość znaczną objętość i że gryzienie i żucie musi być mocne i długotrwałe. Żeby ułatwić jedzenie i wywołać apetyt stosują się też słone, pieprzne i wogóle ostre w smaku pokarmy, jakoteż alkohol i to też, jak wiadomo jest szkodliwe. Widać więc, że wyodrębniona praca mózgu wykonywana przez inteligentów powoduje zepsucie ciała, bo praca ta prześladuje ich i niepokoi nieustannie i wówczas też, gdy muszą spoczywać. Ale to co tutaj przedtem napisano, a mianowicie to że myślenie bez poruszania ciałem i bez odczuć ciała jest złe i liche, bo nie jest dobrze związane z prawdą, a więc to że myślenie jest złe, to też samo przez się powoduje schorzenie i zepsucie ciała. Wszyscy wiedzą, że bywają rozmaite choroby, jak naprzykład schorzenie wątroby od niepoprawnego myślenia, to znaczy od myślenia niedostatecznie rozumnego i wyrozumiałego, które nie umie człowieka wypogodzić, a wywołuje w nim nieustanną złość i zgorzknienie. Po tem wszystkiem co tu napisano widać dobrze, że praca mózgu bez poruszania ciałem i bez odczuć dotykowych jest bardzo zła, bo i dlatego że myślenie jest nierozumne i nieprawdziwe i dlatego że wyodrębniona praca mózgu powoduje zepsucie ciała w dwojaki sposób, a mianowicie i przez uniemożliwianie ciału odpoczynku i przez to że samo przez się złe i niepoprawne myślenie może doprowadzić do schorzeń. A jeszcze trzeba powiedzieć, że schorzałe i bolejące ciało ze swojej strony źle wpływa na samopoczucie człowieka i dodatkowo zaciemnia mu widzenie rzeczywistości i jeszcze bardziej obniża wartość jego pracy myślowej. I oto widać że ogólne zepsucie człowieka od wykonywania przez niego wyodrębnionej pracy rozumu postępuje bardzo szybko, bo wyodrębniona praca rozumu powoduje zepsucie ciała, a zepsucie ciała ze swojej strony powoduje zepsucie rozumu. Można dużo pisać o tem jak psuje się człowiek od pracowania rozumem bez poruszania ciałem i bez otrzymywania odczuć dotykowych, ale tutaj będzie jeszcze tylko powiedziane, że zależność pomiędzy stanem zdrowia w ciele i stanem psychiki jest nadzwyczajnie ścisła i obustronna i że to potwierdza też i nauka dzisiejsza zwłaszcza po odkryciach względnie niedawnych w dziedzinie tak zwanych gruczołów o wydzielaniu wewnętrznem. I oto dlatego ciało u inteligentów jest zepsute. Było powiedziane, że ciało to nie jest ważna rzecz, bo ciało ginie i umiera, ale ciało u inteligentów jest zepsute w sposób hańbiący, zupełnie nie tak jak u rycerzy i męczenników. Bo zepsucie ciała u inteligentów jest to objaw zepsucia ich rozumu, duszy i wszystkiego. Naprzykład schorzenie ciała u inteligentów widać w tem, że mają oni zepsute zęby. Jeśliby nie dentyści to chyba prawie wszyscy nowocześni ludzie w trzydziestym czy czterdziestym roku życia byliby bez zębów i mówiliby bezzębnemi wargami szepleniąc jak starcy. Ciało to nie jest ważna rzecz i zęby też to nie jest ważna rzecz, ale próchnica zębów to jest świadectwo, że cały człowiek jest zepsuty i że zepsute są w nim rzeczy bardzo ważne i dusza i rozum i jest to świadectwo, że rozum pracuje źle i po warcholsku, że nie pracuje dla dobra człowieka, lecz jakoś inaczej i że rozrósł się jak nowotwór, ale że choć jest niby wielki, to jednak jest mało warty i że jest taki, można powiedzieć, jak wielki, ale sparciały owoc, i że rozum ten spać w nocy nie daje i że nie daje smacznie spożyć pokarmu i że popsuł nerwy i że odebrał człowiekowi najważniejsze dary, łaski i talenty. Ciało to nie jest ważna rzecz, ale popsute zęby jest to schorzenie brzydkie i hańbiące i człowiek jest tem schorzeniem napiętnowany.

LEON MACIAŃSKI

(C. d. n.)

KANIA I SŁOWIK

(LA FONTAINE, *FABLES IX, 18*)

Kania, znana ze złodziejskiej natury,
Gdy wszczęła we wsi wiele hałasu,
I z krzykiem dziatwy leciała do lasu,
Tam słowik wpadł w jej pazury.
Bard wiosny błaga ją o życie:
— Czem się się nasycisz, kiedy we mnie same dźwięki?
Posłuchaj raczej mej piosenki
O Tereusza nienawistnym bycie! —
— Tereusz? Czy to jadło dla kani stosowne?
— Nie. To król. Jego zbrodnie i czyny gwałtowne
Przyprawiły mnie kiedyś o srogie katusze.
Pieśnią o tem zachwycę cię pewnie i wzruszę.
Wszystkich sobie zjednałem mą sławą śpiewaczą —
Kania na to mu odpowie:
— Prawdziwie, dobryś sobie! Kiedy jestem na czczo,
Nie śpiew mi w głowie. —
— Ja o tem śpiewam królom. — Królowi, gdy słucha,
Mogą się zdawać cudowne twe tony,
Lecz dla kani to androny.
Brzuch zgłodniały nie ma ucha. —

Przełożył STANISŁAW KOMAR

DZIEŁO ZBIOROWE O RUSZCZYCU

Wileńszczyzna jest rodzajem rezerwatu rodzimości, polem doświadczalnym, na którym kultura polska szuka dowodów, jak bujnie kwitnie na tej wdzięcznej glebie jej posiew. Niczym kwiaty w ogrodzie botanicznym ks. Jundziłła za czasów Mickiewicza — w Wilnie każde ziarno sztuki daje w swojej płonce najpiękniejsze świadectwo właściwościom rodzajnym tej krainy.

Mieliśmy dowód na Mickiewiczu, jak tam głęboko w ziemię sięga korzeń twórczości jako myśl; widzieliśmy na filozofii i na badaniach historycznych, jak chciwie łączy się tam myśl z troską o życie Polski; patrzeliśmy, jak ta bujność rodzimości w bezpośredni sposób oplata katedry naukowe, a wreszcie — choćby w życiu filareckim — jak ona przetwarza na swój styl ideały etyczne.

Pojęcie rezerwatu nasuwa się tutaj dlatego, że tej rodzimej kulturze ducha nie dawały początku idee urbanistyczne, bo narosła ona z dorobku dworów wiejskich, którego duchem przesiąknięte jest do dziś nawet Wilno. W kulturze na ziemi wileńskiej jest coś z samodziału, dlatego łatwiej tu niż gdzieindziej nawrócić sztukę do życia.

Wilno, jako miasto, jest cudem równie dobrze ziemi, jak urbanistyki; jest ono na tej ziemi jak kościół na wsi: że murowane i artystyczne — to słuszności porównania nie wadzi, bo właśnie mur koło kościoła, czy artystyczność wieży najpiękniejszym jest uzupełnieniem pejzażu wiejskiego, gdy ta sztuka zdaje się ulegać w walce z pięknością przyrody, gdy przerośnięta jest lipami, gdy ma w tle kwieciste łąki, gdy głos dzwonu pochyla głowy ludzkie w czci dla tego zjednoczenia ziemi z niebem, sztuki z życiem.

Na tle tego Wilna trzeba widzieć postać Ruszczyca, czciciela piękna i sztuki, postać urastającą w atmosferze tego prawdziwego miasta do wymiarów legendarnych. Oto Wilno zgotowało mu teraz owację pośmiertną, wydając księgę zbiorową, która utrwala w sposób artystyczny i literacki żywą o nim pamięć. Tytuł książki: „Ferdynand Ruszczyc, życie i dzieło". A dalej: „Księga zbiorowa, wydana staraniem komitetu uczczenia F. R. w Wilnie z zasiłkiem Funduszu Kultury Narodowej i Min. Spraw Zagr. Ilustracyj 322. w tym 22 plansze barwne, 74 plansze jednobarwne i 226 reprodukcyj w tekście podług zdjęć fotogr. Jana Bułhaka". Wilno 1939. Skład gł. w Księgarni św. Wojciecha (Wilno-Poznań-Warszawa-Lublin). Str. 481 in folio. Papier luksusowy. Dodać do tej informacji należy, że duszą i wykonawcą redakcyjnym wydawnictwa był p. Jan Bułhak, który dzięki światłu w powietrzu wileńskim podniósł kunszt fotografii do znaczenia nowej sztuki plastycznej. Do komitetu wydawniczego wchodzili prócz niego: Jerzy Hoppen, Miecz. Limanowski, Marian Morelowski i Ludwik Szwykowski. Druk wykonała tłocznia miejscowa St. Turskiego. Dzieło będzie wkrótce rzadkością, bo odbito tylko tysiąc egzemplarzy.

Prace w książce zebrane wyszły spod pióra pomienionych redaktorów; oprócz nich piszą o Ruszczycu: Jerzy Remer, Wanda Dobaczewska, Wacław Gizbert-Studnicki, Tadeusz Turkowski, Ignacy Widawski, Józef Wierzyński, Karol Tichy. Są to przeważnie wspomnienia ludzi, którzy z Ruszczycem przyjaźnili się i pracowali. Opisali go ze wszystkich stron, jak uczniowie malują modele. Wypadł portret zbiorowy bardzo plastyczny. Serca piszących zgrane były szczerym dla Ruszczyca uczuciem, zarysy bowiem i barwy doskonale się zharmonizowały. Łącznym wysiłkiem przy pomocy znakomitych ilustracyjnych zdjęć Bułhaka — schwytano Ruszczyca żywcem i utrwalono go w tym pomniku bardzo plastycznie.

Prof. Tichy, Wierzyński, Bułhak okazali się doskonałymi narratorami wspomnień. Ukazali nam Ruszczyca jako człowieka domowego, jako wielkiego artystę i jako działacza na polu kultury artystycznej, jako apostoła piękna ze szczególnym uwzględnieniem jego patronatu nad Wilnem. Hołdownicze, a nawet jak u Bułhaka, pełne pokory stanowisko piszących uwydatnia rozmiary postaci Ruszczyca.

*

Księga z powodu swego przeznaczenia pamiątkowego i tła uczuciowego ma charakter literacki. I to właśnie pozwala mnie, laikowi w sprawach malarskich, nią się zajmować. Do literatury też należą prace krytyczne tu zamieszczone p. p. Morelowskiego, Remera i Limanowskiego, usiłujące wytłumaczyć naturę talentu Ruszczyca i... talent jego natury, która w tak osobliwy w Polsce sposób dwoiła się między powołanie twórcy dzieł i misję działacza kulturalnego.

Charakterystykę talentu daje pierwszy z pomienionych krytyków; Remer analizuje pasję artysty w doszukiwaniu się wartości w tradycjach artystycznych kraju; Limanowski przenosi wszystko to w sferę wartości „immanentnych". Są to zagadnienia dostępne krytykowi literackiemu, jeśli się zważy, że Ruszczyc w znacznym stopniu był literatem nawet jako malarz, tym bardziej jako kulturnik.

Rzecz ciekawa, że nikt w tej wielkiej księdze nie zajął się ważną — moim zdaniem — okolicznością, że Ruszczyc miał krew dwoistą: po ojcu polsko-białoruską, a po matce — duńską i jak ze wszystkiego widać (że to w pierwszym pokoleniu) nie dość zasymilowaną. Mamy tu do czynienia z bardzo ciekawym i korzystnym w rozwoju twórczości zjawiskiem psychologicznym dwugłosu krwi.

Matka, jak widać z portretu, typ mocny w swej nordycznej odrębności, podzieliła się z rodzicem naturą duszy dziecka. Geniusz ludzki przy każdej wykładni przyczyn nie przestaje być tajemnicą, bądź co bądź jednak pozostaje zjawiskiem psychicznym, w którego badaniu nie można się zadowolić filozoficzną refleksją. Podłoże fizyczne jest bardzo ważne i nie uchybia wartościom ducha badanego.

Doświadczyliśmy w dziejach sztuki polskiej, ile dobrego zawdzięczamy przymierzu obcej krwi aryjskiej (Chopin, Grottger, Matejko). W duszy artysty bardzo ważnym momentem jest dar rozdwojenia się na część doznającą wrażeń i wzruszeń z jednej strony, a z drugiej — na część uświadamiającą sobie te naładowania, widzącą obiektywnie świat w duszy posiadany (z dozna-

nia czy z dziedzictwa) i tym światem żywo się interesującą.

Ruszczyc, biorąc pierwiastek aktywny po matce, obserwował (introspektywnie) dziedzictwo swojej duszy po ojcu romantyku, dziedzictwo uczuć pełnych przywiązania do przyrody rodzimej i rodzimej kultury. Więcej nawet — Ruszczyc artysta obraz ziemi, będącej żywiołem jego rodzimym, obserwował w odbiciu swej duszy okiem matki, ukształconym na żywiole morza.

Stąd pochodzi u Ruszczyca motyw ziemi, jakby ją zoczył świeżym wzrokiem i zainteresował się istotą tego żywiołu. W obrazach swoich na temat ziemi (Orka) nie pejzaż maluje, lecz myśl swoją poetycką o związku swoim z ziemią.

Stąd zawsze tyle nieba, jak nad morzem, stąd te chmury północne.

A tym ślubom z ziemią odpowiada odchodząca w dal legendy wizja okrętu, którą usypiała go w dzieciństwie matka.

Ruszczyc po matce miał i to, że w tak naturalny sposób odczuwał potrzebę stosowania sztuki do życia. Nie miały tego tradycje szlacheckiej romantyki polskiej; mają natomiast praktyczne kultury północy, rozwijające swój styl bezpośrednio z zaczątków pochodzenia ludowego. Cechą charakterystyczną tych kultur artystycznych jest dbałość o estetykę wnętrz domowych, tak właściwa krajom ciężkich zim, gdzie schron domowy jest marzonym światem dla człowieka.

W krajach, walczących z ciężkimi warunkami bytu, zmysł estetyczny ulegać musi najogólniejszemu prawu życia — bezustannemu wysiłkowi pracowitości i praktyczności, bez których człowiek nie stworzy świata koło siebie. Estetyka i sztuka są służebnicami tego zmysłu życia, o ile ono ma przedstawiać dla człowieka jakikolwiek urok. Ruszczyc dał naszej Polsce północnej wzór tego stylu duszy twórczej. Nawiązując apostolstwem swoim do dawnych pokładów kultury polskiej, do piękna ziemi, uprzytomnił swemu pokoleniu, że misją kultury jest głęboka „orka", że sztuka polega nie tylko na całopaleniu człowieka w marzeniach, lecz i na dźwiganiu życia ku słońcu.

Za ukazanie tego motywu dramatycznego w życiu i sztuce — nie za to tylko, że dobrze malował — ukochało Ruszczyca Wilno.

Z. W.

GŁOSY

PROPAGANDA

URZĘDY propagandy, podniesione nawet do godności ministerstw są przejawem wdarcia się w szeregi polityki zasad merkantylnych, przenikania we wszystkie przejawy etyki kupieckiej. To tak bardzo charakterystyczne dla naszych dni zjawisko „zawdzięczamy" wiekowi XIX-stemu, co to wzorem rewolucji francuskiej tej zwaną „wielką", przetasował układy społeczne, zamiast żołnierza—szlachcica stawiając na szczytach hierarchii kapitalistę—mieszczanina, wielkiego mieszczanina. Był to przewrót w dosłownym znaczeniu, przestawienie cywilizacii na inny tor. Nie trzeba, oczywiście po raz nie wiadomo już który, powtarzać, że *magna pars* była w tem żydowska. Z pod sugestii czasów owego przewrotu nie możemy się wydobyć po dziś dzień, mimo, iż już rodzi się reakcja.

Treść słowa „propaganda" do tego stopnia kojarzy się z treścią słowa „żyd", że urzędy propagandy obsadzane były głównie przez żydów. Oczywiście dawało to opłakane wyniki—samiśmy się o tym przekonali najlepiej. Ale nie tylko my. Ostatnio uczuła (niewiadomo zresztą, dlaczego) brak propagandy i Anglia. Stworzono więc odpowiednią instytucję, która zajęła się, między innymi, urządzeniem przed paru miesiącami wystawy sztuki brytyjskiej w salach IPSu. Wystawa ta, mogła stać się nowym węzłem zacieśniającym stosunki polsko-angielskie, a stała się jednym stekiem incydentów. I tak np. na bankiecie urządzonym z racji jej otwarcia więcej ubito interesów handlowych, aniżeli wymieniono słów na temat sztuki. Nic dziwnego—świat artystyczny był tam nieobecny, królował natomiast p. Falter *et comp.*

Porzućmy jednak szczegóły.

Propagandę pojętą na szeroką skalę w życiu politycznym pierwsza zastosowała Rosja bolszewicka. Przeciwstawieniem się temu było utworzenie przez faszyzm a potem narodowy socjalizm specjalnych ministerstw poświęconych propagandzie. Rozpoczęto niejako walkę tą bronią, którą się do tej pory otrzymywało cięgi. Obcym tu zupełnie momentem, którego człowiek o starej, prawdziwej cywilizacji nie może zupełnie pojąć, jest programowa autoreklama przez ludzi panującego *regime'u*, wyolbrzymianie prawdziwych i urojonych cech własnego charakteru i własnych zasług. Poczucie taktu zostało całkowicie zastąpione poczuciem taktyki, a wszystko to zrodziło nowe zjawisko wielkości koniunkturalnych, olbrzymich, wydętych, jak ta przysłowiowa żaba. Jeśli kanclerz Hitler, którego zresztą dużych zasług względem Niemiec nikt negować nie będzie, potrafi o sobie powiedzieć z rozbrajającą zarozumiałością, iż jest największym Niemcem wszystkich czasów, to powiedzenie to świadczy o poważnej skazie na zjawisku propagowanej przez siebie a szczególnie partyjnego kolegę d-ra Goebbelsa wielkości—braku pokory wobec zjawiska narodu, ojczyzny.

I pomyśleć, że jednocześnie inny partyjny kolega „Führera" Baldur von Schirach rzuca Niemcom takie oto hasło: „T y j e s t e ś w i n i e n, t w ó j n a r ó d j e s t w s z y s t k i m!" Proszę teraz zestawić hasło to z opinią o sobie kanclerza, a nasunie się zaraz pytanie, jak właściwie jest traktowany ten niemiecki naród? Czym on jest?

Nad zjawiskami poruszonymi przez nas w tym krótkim *essay'u* nie można przejść do porządku. Trzeba je zanotować na świadectwo naszych czasów. I na świadectwo, że jednak zdawano sobie sprawę z ich istoty.

ZASADA HIPOKRYZJI TRWA

„DEMOKRACJA jest poprostu negacją narodu" napisał niedawno Valois, a w słowach tych ukazuje całą hipokryzję zasad i ustroju demokratycznego, którą nieraz już ukazywaliśmy na łamach „Myśli".

Powiedzieliśmy wyżej, że ruchy walczące z żydostwem nieraz sięgały do środków używanych w grze ideowej i politycznej przez przeciwnika. Zanotować tu musimy z kolei i zjawisko hi-

pokryzji przyjętej jako tarcza dla ukrywania swych celów istotnych.

Gdy Marinetti powiedział szczerze, iż wojna jest najlepszą higieną narodów, a faszyzm zdawał się potwierdzać słowa swego poety, to imponowało. Ale gdy Mussolini idąc na Abisynię usiłował wmówić światu, że rozpoczyna podbój z powodu niedostatku narodu włoskiego, gdy tymczasem motorem działania była wspaniała ambicja imperialna, takie wstydliwe ukrywanie istotnego celu ani przekonało przeciwników ani nie znalazło zrozumienia u tego gatunku ludzi, który zdolny jest pojąć, co to jest ambicja.

Podobnie jest z III Rzeszą. Ciągłe, ustawiczne tłomaczenia się przed światem kanclerza Hitlera, wmawianie temu światu, iż się chce pokoju i „przestrzeni życiowej“ nie przysporzyło Niemcom kredytu moralnego. Każdy czuje fałsz wypowiedzi, fałsz, który nikomu nie imponuje, a który odbiera u przeciwników szacunek.

Szacunek dla przeciwnika łączył się z rycerskimi zasadami walki starej cywilizacji i ci, dla których nie stanowi ona jakiegoś „feodalnego przeżytku“ pragnęliby go mieć w dalszym ciągu. Szacunek ten nie osłabiłby, zresztą, siły bojowej. Stwierdzamy, iż szacunku tego dzisiaj nie posiadamy. Dobrze — będziemy się więc bić przepojeni dla wroga pogardą.

GDZIE JEST POLSKA RZEŹBA?

WARTO sobie uprzytomnić, że z dziesięciu wielkich pomników stolicy, tylko cztery są dziełem rąk polskich, a to pomnik Mickiewicza, Kilińskiego, Poległych Lotników i Bogusławskiego, sześć zaś innych wzniesii obcy. A więc statuę króla Zygmunta III i króla Jana III Sobieskiego Włosi, Kopernika i księcia Józefa Poniatowskiego — Duńczyk, Chopina—frankista Szymanowski, a poległych Saperów — poprostu żyd Lubelski. Inwazja żydów w życie kulturalne sięgnęła daleko. Tenże żyd Lubelski jest twórcą jedynego w Łodzi pomnika Kościuszki (Naczelnik wygląda na nim, jak gdyby był wbity na pal). Manieryczny żyd Kuna buduje w Wilnie pomnik Mickiewicza, mimo gorących protestów Polaków, obecnie zaś zaproszony do ścisłego konkursu na pomnik Józefa Piłsudskiego wziął równorzędną nagrodę z Xawerym Dunikowskim. Zresztą „zainkasował“ tylko „forsę“ (całe 25 tysięcy złotych), bo projekt uznano za nienadający się do realizacji. Warto zaznaczyć, że do konkursu tego zaproszono i Jugosłowianina, świetnego zresztą Mestrowicza.

Co się dzieje z rzeźbą polską? Czy jej niema?

Jest. Tylko, że taki Szukalski nie może się doczekać realizacji — ani jednego swego projektu, nawet tych, co to na konkursie podostawały pierwsze nagrody, jak było z pomnikiem Mickiewicza w Wilnie, (polecono go wykonać, jak już powiedzieliśmy przed chwilą, żydowi Kunie). Jest coś tragicznego w tym szamotaniu się wielkiego talentu, którego wielką sztukę odrzucają czasy współczesne. Jednocześnie inny rzeźbiarz Kamy, laureat nagrody Warszawy, jednej z wielu jakie otrzymał, nie może się również doczekać żadnego większego zamówienia. Inny zdolny rzeźbiarz Polak, wstąpił do policji, aby żyć... Kamy także był zresztą przez pewien czas policjantem.

Jak się okazuje, czasy nasze nie odczuwają jeszcze głodu monumentalności, a jeśli na chwilę go poczują, pędzą do żyda, z prośbą, by był wyrazicielem ich uczuć, ich tęsknot...

Doprawdy—jest o co walczyć.

Wakacyjna dyskusja wychowawcza. III.

ASYMILACJA I AUTORYTET

METODY wychowawcze są rozmaite. Talent pedagogiczny nie w każdym nauczycielu występuje w równym stopniu. Niemniej warunkiem najważniejszym dobrego oddziaływania wychowawczego jest charakter nauczyciela, albo, jeśli kto woli, osobowość, której osiami krystalizacyjnymi są zasady moralne. Wszelkie inne umiejętności człowiek zdolny jest z siebie wydobyć, przyswoić sobie, rozwinąć.

Obserwując wychowanie dzieci w rodzinach, łatwo spostrzec, że olbrzymia większość dzieci „złych" to rezultat pewnych metod postępowania ich „starszych". Złe metody są rzadko tylko i w znikomym stopniu (zwłaszcza, jeśli mowa o rodzinie) spowodowane bądź to niedokształceniem, bądź błędnymi wiadomościami. Przyczyna tkwi o wiele głębiej i jest znacznie trudniejsza do usunięcia, niż niewiedza. Krótko mówiąc: źli rodzice wychowują złe dzieci. W okresie najnowszym polskiej myśli pedagogicznej najlepiej przedstawił tę sprawę W. Majdański w rozdziale „Gigantów": „Uwięzione wychowanie".

Między dzieckiem „złym" a jego najbliższym otoczeniem jest ciągły antagonizm. Dziecko słyszy wciąż: „nie". Narzekania, zakazy, protesty, ograniczenia. Nikt z nim nie współżyje, nie cieszy się nim, nie współczuje z nim, nie prowadzi go, nie zachęca do niczego. Posłuch dziecka osiąga się karami i groźbami. Słyszy ono ciągle ujemne opinie o swoim charakterze, wezwania moralne (popraw ty się), złowróżbne przepowiednie (co z ciebie wyrośnie!), i abstrakcyjne kazania (dziecko powinno być takie, a nie owakie). W rezultacie dziecko o najlepszych predyspozycjach przyrodzonych zamyka się w sobie, staje się nieufne, nieprzystępne; nabiera psychiki małego zbuntowanego niewolnika. I rzecz charakterystyczna: te wszystkie ujemne cechy, jakkolwiek może w innej postaci i uwikłane w bogatszym kompleksie psychicznym, są w duszach wychowawców.

Naczelnym prawem wychowawczym, wynikającym z nieuchronnego zjawiska przy każdym zetknięciu się ludzi — jest asymilacja. Ludzie na siebie oddziaływują. Nie tylko wtenczas, kiedy jeden drugiego obdarowuje albo obdziera z dóbr materialnych, hypnotyzuje, zabija, albo zapładnia. Można przypuścić, że gdyby na całej kuli ziemskiej było tylko dwóch ludzi, nic nie wiedzących o sobie i ustawionych — jeden na biegunie północnym, drugi na południowym — to jużby oddziaływali na siebie radiostacjami swoich mózgów, emanacją inteligencji i woli, przenikającą wszystko — niejako w czwartym wymiarze [1]).

[1]) Musi istnieć jakaś istota natury duchowej, należąca do jaźni indywidualnej, a jednocześnie do całego rodzaju ludzkiego, a nawet do całego bytu. Jesteśmy przeświadczeni, że tylko w ten sposób można wytłumaczyć możliwość

Obok zjawiska asymilacji, która zaczyna się od mniej lub więcej świadomego naśladowania, a potem, po przejściu w przyzwyczajenie, staje się nową sprawnością i nową cechą charakteru— jest jeszcze zjawisko opozycji, wobec rzeczy i faktów, które narzucają się świadomości, ale nie budzą sympatii, nie imponują. Owszem — budzą obrzydzenie, wzgardę, wstręt, nienawiść. Wtedy przez opozycję mogą się rozwinąć w człowieku wręcz przeciwne myśli i wartości charakteru.

Ale takiemu rozwojowi towarzyszą uczucia nieprzyjemne; trzeba pokonywać sugestię środowiska i robić swoje wbrew otoczeniu. A nie są to sprzyjające warunki rozwoju osobowości.

Asymilacja. Upodabnianie się w zasadniczym typie duchowym do kogoś innego, i łączenie się z nim więzią sympatii i współdziałania. Zwykle się mówi o asymilacji, jako o procesie dziejowym, występującym niekiedy jaskrawo w stosunkach między rasami, lub narodami. Wszakże jasnym jest, że te procesy asymilacji na wielką skalę, poprzez szereg pokoleń, dające w rezultacie przesunięcia granic etnicznych — składają się z tylu elementów, ilu ludzi brało w nich udział — ba! Z tylu elementarnych jednostek, ile ci ludzie zamienili między sobą słów, uśmiechów, spojrzeń, gestów. Asymilacja jest głównym środkiem wychowywania. Np. dziecko traktowane z niechęcią, ze złością, słyszące na każdym kroku „nie" — rozwija się przez opozycję — i najczęściej rozwija się źle. Gromadę takich dzieci łatwo sterroryzować, jeżeli się jeszcze chce sytuację pogorszyć, ale trudniej wytworzyć wśród nich atmosferę kulturalnego rozwoju.

Nauczyciel może panować nad swawolą uczniów słabiej, lub silniej, może utrzymywać wśród nich porządek i posłuch mniejszy, czy większy. Różna może być siła jego autorytetu. Ale są dwa rodzaje autorytetów: autorytet zły, prowokujący opozycję, rządzący obawą represji — i autorytet dobry, asymilujący, wzbudzający zaufanie, chęć naśladowania, sympatię. Pierwszy lubi uciekać się do metod policyjnych. Drugi wychowuje sposobami raczej apostolskimi. Autorytet represyjny oparty jest zwykle na t. zw. ambicjach osobistych, na namiętności robienia kariery, na egoizmie, lub delikatnie mówiąc, egotyzmie. Autorytet sympatyczny posiada nauczyciel, zdyscyplinowany moralnie, umiejący przestrzegać hierarchii wartości obiektywnych, oraz przeprowadzać we własnym życiu zasady moralne. Siłę duchową daje mu służba idei. Karierowicze i stupajki — to nie wychowawcy. Ani dla dzieci, ani dla narodu. Ideą naczelną musi być Bóg — którego Imię łatwo wymówić, ale którego byt wyczuć i zrozumieć jego przejawy w mechanizmie stworzenia — łatwym jest tylko dla wybranych, ale nie wykluczonym dla nikogo z żywych. Ta idea realizuje się przez służenie ludziom, normalnie zaś — własnemu narodowi, jako przyrodzonemu środowisku nauczycielskiego działania, jako konkretnej, najsilniej w naturalnym porządku zespolonej grupie społecznej, wytworzonej przez dzieje. Państwo jest narzędziem ekspansji kulturalnej i gospodarczej narodu, jest środkiem jego walki o byt w świecie. Czasami zaś tym wszystkim nie jest, o ile do „ośrodków dyspozycji" machiny państwowej dostali się członkowie innego, nieprzyjaznego narodu — albo ich kreatury. Wtedy państwo, a właściwie pewne jego instytucje i ustawy — poczynają działać na szkodę interesów i „morale" narodu, który zresztą w nowoczesnych warunkach zwolna dochodzi do przekonania, że go oszukują i krzywdzą.

Szukając dróg realizowania ideału wychowawczego zagłębiamy się w rzeczywistość polityczną swego narodu [2]).

TADEUSZ DWORAK

takich zjawisk, jak telewizja, telepatia, jasnowidztwo i t. p. Hoene Wroński, tłumacząc swoje prawo stworzenia, operuje trzema elementami: element bytu, element jaźni i element neutralny. Otóż mamy tutaj na myśli ten element trzeci— neutralny. Byłby on kanałem, — czy — powiedzmy — przewodnikiem, którym z duszy do duszy przepływają pewne jakości psychiczne. Trudno tego dowieść, ale kierując się wyczuciem, a także spekulacją, której tu, z braku miejsca nie będziemy rozwijać, jesteśmy przekonani, że ludzie muszą mieć coś ontologicznie wspólnego, bo inaczej nie mogliby się wogóle wzajemnie porozumiewać. Wydaje nam się, że tylko tak dadzą się zasadniczo wytłumaczyć wszelkie t. zw. intersubiektywne procesy, z których najważniejszym jest mowa. Św. Augustyn stawia ponadto jeszcze inną hypotezę; oto mowa nie jest udzieleniem, przydaniem komuś czegoś — tylko wzbudzeniem odpowiedniej treści w słuchaczu, która już w nim tkwiła potencjalnie. Sprawa przedstawiałaby się więc analogicznie, jak z prawem swoistej energii zmysłów.

[2]) Liczą się z tą rzeczywistością niektórzy polscy publicyści pedagodzy, ale nieraz preparują ją skalpelem tendencji partyjnej, ażeby łatwiej przejść do agitacyjnych wniosków. Np. dr. St. Łempicki („Polski ideał wychowawczy" r. 1938), nie zauważył roli żydów w Polsce Odrodzonej, co mu pozwoliło nakreślić swoisty ideał Polaka i dobrnąć do pochwały płk. Koca i deklaracji O. Z. N.

ZE ŚWIATA SZTUKI

W SALONACH IPS'U

WYSTAWIONY w Instytucie Propagandy Sztuki, szereg batalistycznych płócien malarzy polskich XIX wieku daje nam ogólne pojęcie o minionym wieku z jego życiem , dążeniami i upodobaniami, w Polsce na tle sztuki europejskiej.

Ciekawie wygląda porównanie z dalszym jego rozwojem czyli wystawionymi obrazami ery dzisiejszej. A jak wypadnie całość w zestawieniu ze sztuką europejską? — Malarstwo nasze rozpoczyna swą najbujniejszą linię rozwojową w w. XIX i właściwie odtąd mamy dopiero polskich twórców większej miary.

Malarstwo historyczne czy batalistyczne istnieje już w wiekach średnich; przechodzi w renesansie piękną fazę nasilenia artystycznego u Michała Anioła, Leonarda da Vinci i innych wielkich mistrzów. W wiekach późniejszych Dürer, Rubens — oddają również swój talent na usługi temu tak frapującemu tematowi. Podchodząc więc do obecnej wystawy musimy zdać sobie dokładnie sprawę i rozdzielić sentyment i zasługi w sensie patriotycznym od prawdziwej sztuki. O ile Leonardo malował scenę batalistyczną w zawody z Michałem Aniołem, to tak jeden jak drugi, kładli w dzieło przede wszystkim umiłowanie sztuki czystej, malarskiej, a temat był pretekstem do wyżycia się twórcy. Rubens, malując bitwę Amazonek miał na uwadze tylko kolor, kompozycję i formę...

Zapuściwszy sieć usnutą z powyższych uwag — na obecną wystawę, zauważymy, że jest ona b. biedna i skromna i mało w sieci grubszych ryb znajdziemy. Podchodząc natomiast od strony patriotycznej i ducha epoki w jakiej dzieła powstały, musimy przyznać, że to malarstwo wychowało nam społeczeństwo, które Polskę odbudowało. Wiek XIX, to wiek zakonspirowanej pracy malarstwa, poezji i mu-

zyki — gnębionego Narodu. Każdy więc obraz nabiera tu specjalnej wagi, bo epoka tworzy sztukę — i odwrotnie. W Europie zresztą malarstwo tego rodzaju było malarstwem najbardziej oficjalnym i pokupnym. Ponieważ wszystko w Polsce się opóźnia i specjalne warunki zresztą do tego się przyczyniły — malarstwo historyczne ciągnie się jeszcze do dzisiaj nawet. I o ile dawniej to malarstwo miało sens wychowawczy i wytłumaczenie, chociaż przeważnie nie posiadało walorów artystycznych, to dziś tego rodzaju twórczość jest wręcz szkodliwą. Niema mowy o wyrzeczeniu się tematu, ale temat winien być pretekstem do stworzenia dzieła sztuki. Takie podejście w malarstwie, jakie rozgrzeszyć możemy do chwili odzyskania Niepodległości — stosowane dzisiaj, musimy potępić. A więc reasumując — powiemy, że z punktu widzenia dobrego malarstwa wymienimy przede wszystkim: Michałowskiego, Kossaka Juliusza (szkice akw.) Orłowskiego (obraz ol. z gal. wileńskiej) Matejkę także, Gierymskiego Maksym., Fałata, Brandta, Chełmońskiego, Kossaka Wojciecha z wczesnej twórczości, Batowskiego, Rozwadowskiego, Gepperta, Pękalskiego. W spisie tym niektórych malarzy umieściliśmy nie ze względu na ich płótna wystawione, ale ze względu na całokształt twórczości. Należałoby z tych względów wymienić również np. Smuglewicza, Suchodolskiego, Pillatich, Andriollego, Grottera i wielu jeszcze współczesnych malarzy — wystawione jednak ich prace mało bardzo mówią o ich linii twórczej. Czy „Kirasjer" jest „rasowym" obrazem batalistycznym i czy jest w nim szczere podejście do tematu? No, ale przecież Czyżewski musiał być reprezentowany. Czy Żuławskiego bitwa morska mówi o jego malarstwie martwych natur? Wymienieni zresztą Ci, którzy zostali w tej jakby sieci i tak mają swoje grzechy, o których ze względu na brak miejsca mówić nie będziemy. Obejmując całokształt wystawy, musimy powiedzieć, że dziwi nas brak niektórych dobrych płócien a obecność miernych. Były zapewne trudności ze zdobyciem tamtych, ale pocóż na ich miejsce wieszać lichoty. Charakter twórczości polskiej w temacie batalistycznym nie byłby uboższy, gdybyśmy nie widzieli Wróblewskiego, Gery Rozmuz i in.

Malarstwo dzisiejsze cierpi na impotencję tematu; malarstwo lat ubiegłych chorowało wskutek jego przerostu. Opierali się nieśmiało dominowaniu tematu nad malarstwem nieliczni tylko malarze, to też ich prace pozostają nam w pamięci po wyjściu z wystawy i taka „Modlitwa kosynierów" jest już amalgamatem szlachetnym treści z formą. Subtelne obrazy Gierymskiego zastanawiają, Fałat uderza świeżym podejściem do „oklepanego" tematu. W chwalonym wyżej Michałowskim laik początkowo nie dostrzeże wartości plastycznych, ale w Orłowskim rozpozna temperament sarmacki i nie okrzesany talent. Szkoda, że Wojciech Kossak odszedł od siebie znowu, przez Jerzego Kossaka. Z podejściem Sichulskiego nie zgodzilibyśmy się, a Geppert przy swojej kulturze i talencie mógłby zrobić więcej, gdyby wziął temat na serio. Pękalski prezentuje nam nowe usiłowania i podejścia w tematach batalistycznych. Przydałoby się, żeby większa ilość malarzy zaczęła myśleć o temacie i widzimy nawet napieranie na tego rodzaju sztukę i popieranie jej przez czynniki rządowe.

Okres dawniejszy to wybitne p o d e j ś c i e do widza i „branie" go na przynętę ścisłości historycznej i sztafażowej — malarstwo dzisiejsze, to praca laboratoryjna i eksperymenty, którymi zachwyca się garstka wybranych. Zaaranżowana wystawa daje nam doskonały rzut na szale ważących się tych dwu czasów i jak dotychczas — mimo, że dzisiejsze malarstwo batalistyczne (w małych wyjątkach) stawia sobie najwyższe cele, to szala dawnego, jest jednak na dole choćby ze względu na ilość nie mówiąc o poważnych talentach. Szczerość podejścia i ogień wewnętrzny trawiący patriotów też coś znaczyły, mimo wartości formalnych — plastycznych. Niewidoczne jeszcze dotychczas, dobre malarstwo nowoczesne tkwi w pośrodku, między tymi, którzy hołdują tylko tematowi, z pominięciem cech artystycznych — a twórczością „laborantów" beztematowych.

Historyczna dzisiejsza epoka da napewno t e m a t y i pole do popisu wschodzącemu pokoleniu malarzy i kto wie — stworzy drugi okres malarstwa batalistycznego, ale już w pełni o założeniach najpoważniejszych i cennych...

KAROL DĄBROWSKI

NAUKA I LITERATURA

RUCH WYDAWNICZY

M u n d u r y W o j s k a P o l s k i e g o. Album. Zeszyt I. Książnica — Atlas. Lwów — Warszawa.

Ukazał się pierwszy zeszyt wydawanej przez Książnicę — Atlas większej pracy pod tytułem „Mundury Wojska Polskiego". Głównym celem wydawnictwa jest szerzenie w społeczeństwie polskim umiłowania Wojska, zaznajomienie jak najszerszych sfer z jego chlubną przeszłością, a przede wszystkim z jego wyglądem zewnętrznym w czasach ubiegłych i w chwili obecnej, jako tym czynnikiem, który najłatwiej pozwala odtworzyć sobie w wyobraźni owe chwile dziejów naszych, gdy żołnierz tworzył wielkość Polski. Dotychczas nie było ani jednego wydawnictwa obejmującego całość polskiej mundurologii: poszczególne dzieła dotyczyły tylko pewnych okresów historycznych.

Album niniejszy obejmuje całość zagadnienia od czasu pojawienia się przepisowego munduru (na początku XVIII wieku) do chwili obecnej. Zawiera on na 56 barwnych tablicach z górą 400 odmian mundurowych. Tablice są wykonane starannie i pod względem historycznym absolutnie ścisłe, a przynajmniej o tyle ścisłe, o ile na to pozwala dzisiejszy stan nauki o dawnych mundurach.

Poza głównym celem wydawnictwa, wykona ono jeszcze jedno zadanie, może równie ważne: posłuży za materiał propagandowy za granicą. Przedstawiając dawne i obecne Wojsko Polskie, zaznajomi licznych cudzoziemców z chlubną przeszłością naszego Narodu oraz z jego obecną potęgą. Dla ułatwienia wykonania tego drugiego zadania podpisy objaśniające pod tablicami są napisane w 4 językach (polskim, francuskim, niemieckim i angielskim, a kilkudziesięcio-stronicowy tekst wstępu w dwóch (polskim i francuskim).

„Mundury Wojska Polskiego" zostały opracowane przez członka Państwowej Rady Muzealnej dr. Władysława Dziewanowskiego przy współudziale inż. Józefa Konopki, tablice wykonali artyści malarze Xawery Koźmiński i Stanisław Haykowski.

*

N a ł ę c z. „Co powinniśmy wiedzieć o Żydach". Wilno. 1939. Str. 34.

W broszurze powyższej autor zawarł minimum tego, co należy Polakowi wiedzieć o żydach, o ich roli destrukcyjnej w społeczeństwach chrześcijańskich oraz dążeniach odwiecznych do panowania w świecie. Są to przeważnie wyjątki z wyznań samych żydów, a także z prac poświęconych ich ideologii i działalności, powiązane umiejętnie przez autora myślą przewodnią tej broszury.

„ROZWAŻANIA" K A S Z N I C Y

Blisko rok temu zdawaliśmy sprawę na tym miejscu z I serii „Rozważań" Kasznicy. A oto mamy przed sobą równie piękną serię II. (Stanisław Kasznica: Myślą, sercem, wolą... Rozważania seria II. Ks. św. Wojciecha 1939. Str. 210 + 3 Knlb.). Jest i ta seria doświadczeń i eksperymentów w dziedzinie religijnej, owocem walki o typ nowego człowieka, uświęconego wewnętrznie w codziennym życiu. Najsilniejszą wprawdzie w życiu człowieka to miłość ku sobie samemu, ale prawda jest również, że można wypracować świętość we współżyciu ludzkim. Do krzewienia, propagowania i ukazywania tej drogi życia (nowoczesnego człowieka powołany jest nie tylko ksiądz, (ciekawe daje autor sylwetki księży), ale może to zadanie spełniać każdy człowiek świecki. A już jeżeli chodzi o księży, nie mogą, nie powinni oni być ludźmi przeciętnymi. Korzenie wiary tkwią w woli. Z niej głównie czerpie wiara swe soki żywotne, by się w duszy ugruntować, rozwinąć, rozkrzewić. „Rozważania" Kasznicy są owocem bystrej spostrzegawczości, ale źródło swe mającej nie tylko w rozumie, lecz i w sercu. Akcentuje autor, że wiara powinna mieć też pewność intelektualną. Zalety stylu i języka tak samo wysokie jak i w serii pierwszej.

J. Św.

Z LISTÓW SENEKI

IV

LUCYLIUSZOWI Seneka zasyła pozdrowienie. W poczętym dziele nie ustawaj, lecz dąż niezmordowanie, byś mógł następnie jak najdłużej radować się umysłem i doskonalszym i rządniejszym. Aby rzec prawdę, to już teraz odczuwasz taką radość, robiąc postępy i twe sprawy duchowe porządkując. Atoli całkiem inna rozkosz udziałem twoim będzie, gdy rzucisz okiem na twą duszę bielutką, czyściuteńką i pięknym blaskiem jaśniejącą. Pamiętasz pewnie, jaka błogość twe serce przejmowała, gdy, strój chłopięcy porzuciwszy, przywdziałeś męską togę, w której powiedli cię na forum. Czeka cię radość jeszcze większa w tym czasie, kiedy nabok odłożysz duszę pacholęcą, a dzięki studiom filozofii zasiądziesz w gronie mężów. Dotychczas bowiem pokutuje w nas wprawdzie nie chłopięctwo, jeno, co gorsza, dusza chłopca. Ta rzecz tymbardziej nas potępia dlatego, że jesteśmy poważni oto jako starcy, podczas gdy głupstwa popełniamy jako nieletni chłopcy, nie chłopcy nawet, ale jako zupełnie małe dzieci. Tamtych przeraża lada bzdurstwo, te — strach bezprzedmiotowy: nas niepokoi to i tamto. W miarę postępu jednak poznasz, jako niektórych rzeczy tem ci mniej lękać się należy, im większą trwogę budzą. Nieszczęście, którem kończysz wszystko, przenigdy nie jest wielkie. Oto przybywa śmierć do ciebie. Mógłbyś mieć przed nią lęk natenczas, gdyby została z tobą. Tymczasem tylko jedno z dwojga na świecie jest możliwe: że albo śmierci jeszcze niema, lub naraz już jej niema.

Ty wszakże powiesz: „Dosyć trudno wykrzesać w ludzkiej duszy lekceważenie sobie śmierci". Alboż nie widzisz jakie błahe przyczyny powodują, że jednak ją lekceważymy? Oto niejeden się powiesi w drzwiach domu swej kochanki. To znowu inny z dachu skoczy, by już nie słyszeć więcej nieustającej beształiny rozgniewanego pana. Ktoś trzeci nożem brzuch rozpruje, gdy grozi mu pojmanie podczas ucieczki nieudałej. Nie miałożby się ważyć męstwo na czyn, któremu sprosta nadmiernym lękiem zdjęte serce? Nie będzie miał beztroskiej doli, kto nazbyt wiele duma, jakby godziny swe przedłużył, kto za najwyższe dobro życia lat mnogość poczytywa. Z dnia na dzień myśl jedynie o tem, byś mógł spokojnie przeżyć chwilę, gdy przyjdzie byt porzucić, ten byt, którego mnóstwo ludzi tak trzyma się kurczowo, jak się czepiają kolców, oraz przyostrych cyplów skalnych, porwani wirem górskiej wody. Wielu szamota się boleśnie pomiędzy lękiem śmierci, a męczarniami dni doczesnych: bytu nie pragną, ale także nie wiedzą, jak umierać. Wcale o żywot się nie troszcząc, napełnisz go weselem. Dobro smakuje pod warunkiem, że ten, kto jego panem, zawsze jest gotów je postradać. Utratą wszakże najmniej przykrą jest postradanie rzeczy, której pożądać już nie możem, gdy raz nam z rąk się wymknie. Przeto zahartuj się, byś mężnie odpierał i te ciosy, które nie szczędzą najmożniejszych. O ziemskiej doli Pompejusza dwaj ludzie rozstrzygnęli: nieletnie chłopię i rzezaniec. Krassusowemu życiu kładzie kres — pewien żołdak Partów, barbarzyńca pełen buty. Zaś Gajus Cezar, na którego skinienie trybun Dekster odrąbał głowę Lepidowi, podzielił także tegoż los, bo zabił go Cherea. Nikogo jeszcze przeznaczenie tak w górę nie wyniosło, by nie groziło mu tyloma chmurami niebezpieczeństw, iloma dary obsypało. Przeto nie ufaj owej ciszy, bo na spokojnej toni zrywa się burza w okamgnieniu. W przeciągu doby toną statki, co tak niedawno temu wesoło mknęły po głębinach. Bo tylko pomyśl: jakiś łotr, czy wróg twój osobisty, nożem po gardle ci przejedzie. Lecz niechby nawet onych gwałtów przemożnych i nie było, to i tak przecież od każdego twojego niewolnika zależy twoja śmierć lub życie. Przeto powiadam: kto ma za nic istnienie swoje własne, ten dzierży w ręku twoje losy. Przebiegłszy myślą wydarzenia zamachów na tle rodzin, kiedy to gi-nął ten i ów bądź gwałtem, bądź podstępem, znajdziesz niemniejszą ilość ofiar mściwości niewolników, niż gniewu królów samowładnych. Niechaj cię tedy nie obchodzi, jak możnym jest ów człowiek, przed którym czujesz w sercu trwogę, bo to, co trwogi tej przedmiotem, potrafi zrobić każdy. Gdy zaś przypadkiem nieprzyjaciel dostanie cię w swe szpony, jako zwycięzca wyda rozkaz, byś wiedzion był na szafot. Ależ i tak na szafot idziesz! Więc w jakim celu siebie zwodzisz i po raz pierwszy niby dopiero teraz odgadujesz, do czegoś dawno przywykł? Bowiem powiadam: od samego początku twego życia na rusztowanie jesteś wiedzion. Takich i tym podobnych myśli niech duch nasz będzie pełen, o ile ma spokojnie czekać na ostateczny moment, na tę godzinę, której widmo zatruje resztę godzin, jeśli będziemy przed nim drżeli.

Jednak, by skończyć już pisanie, posłuchaj, com dziś wybrał. A co wybrałem, jest owocem ogrodów również obcych. „Podług nakazu praw natury ziszczony stan ubóstwa, to prawdziwego stan bogactwa". Czy wiesz ty o tem, jak wygląda granica, którą ludziom powyższe prawa zakreśliły? Nie zaznać głodu, nie przymierać pragnieniem, ani chłodem. By zaspokoić głód i zgasić pragnienia srogie żary, na to nie trzeba wysiadywać na progach dumnych dworów, kędy pokornie znosić musisz wzgardliwe traktowanie, tudzież uprzejmość obrażającą: nie trzeba tułać się po morzach, ni szlakiem wojsk podążać. To, czego żąda głos natury, jest łatwe do zdobycia, jako leżące tuż przed nami. Trudu wymaga tylko zbytek. I tylko zbytek nas pobudza do wycierania togi w czasie państwowej służby czynnej: dla niego tylko posiwiejesz w namiocie obozowym, za jego sprawą ku dalekim wybrzeżom pożeglujesz. Bogaczem tedy jest, kto umie z ubóstwem żyć w przymierzu. Bywaj mi zdrów i miej się dobrze.

Przełożył EDMUND ZIÓŁKOWSKI

W ROZMÓWNICY

NIEWCZESNE MENTORSTWO

NA ŁAMACH „Myśli Narodowej" (nr. 28, głos p.t. „Nieznany kraj"), stwierdziłem zjawisko nadzwyczaj charakterystyczne dla odłamu mieniącego się konserwatywnym, czy to w jego pokoleniu starszym, czy w młodym „buntującym się". Oto odłam ten uparcie szuka obecnie w Polsce nacjonalizmu poza... nacjonalizmem. Wytłomaczenia tego zjawiska nie tylko charakterystycznego, ale i napozór wielce dziwnego znaleźć nie trudno: konserwatyzm, zwłaszcza ten „buntujący się" musiał — chcąc nie chcąc — znaleźć się w końcu pod wpływem idei narodowej, zdobywającej sobie drogą ewolucji pozycję coraz bardziej trwałą, stającej się nawet podłożem panującego systemu. Żyjemy w epoce nacjonalizmu i na to nikt nic nie poradzi.

Ale dla wielu fakt ten wiąże się nierozłącznie z uczuciem rezygnacji — stąd opory wewnętrzne. Opory bardzo silne. Stąd wmawianie w siebie, że się nie uległo urokowi myśli politycznego przeciwnika, że myśl ta również kiełkuje gdzie indziej. Przyznajemy — kiełkuje rzeczywiście i to właśnie stanowi powód naszej dumy. Cieszymy się szczerze, że nasiona naszych owoców już własne swe pędy wypuszczają, a kto wie, czy nawet kiedyś i nie poczną owocować... Daj Boże!

Zrozumiała jest również u zmuszanych do rezygnacji irytacja w stosunku do tych, których atawizm każe zwalczać, a którym logika, nieodłączny przewodnik politycznego myślenia, każe

przyznawać słuszność. Irytacja ta w artykule pojedyńczego autora staje się nieraz źródłem formy stanowiącej wspaniałą pozycję w literaturze, przykładów od Orzechowskiego do Nowaczyńskiego cytować by można wiele, w oświadczeniu jednak podpisanym przez zespół traci na wartości. Myślimy w tej chwili o artykule p. t. „Znamienne oburzenie", umieszczonym w nr. 21 „Polityki", podpisanym przez „zespół".

Artykuł ten „stwierdza" i to „wystarczająco", że „...ruch narodowy w wydaniu Stronnictwa Narodowego nie tylko chłopów, ale w ogóle żadnej warstwy w społeczeństwie za sobą porwać nie potrafił. Porwać to znaczy ni mniej, ni więcej tylko uzyskać zdecydowaną i niepodlegającą najmniejszej dyskusji większość". Załatwiwszy się w ten oto, przyznajemy że prosty, ale wygodny dla swych argumentów sposób, z pozycją największego w Polsce stronnictwa, reprezentującego cały wielki prąd ideowy a rozporządzającego w chwili obecnej, chociażby tylko... młodymi, narastającymi wciąż pokoleniami, „Polityka" mówi dalej, iż stronnictwo noszące nazwę „narodowo-demokratycznego" a dążącego przede wszystkim do władzy, nie potrafiło w „...niesłychanie sprzyjających warunkach rozwydrzonego parlamentaryzmu i słabości rządów dojść do tej władzy", a „...to jest lepszym niż jakakolwiek statystyka wyborcza argumentem, że stronnictwo to nikogo (!) za sobą porwać nie umiało, nie tylko chłopów i robotników, ale nawet inteligentów".

Pasja polemiczna — jak widzimy — wzrasta niepomiernie przechodząc w zjawisko jakiegoś „zespołowego" podniecenia (dowodem owo słowo „nikogo", przy którym pozwoliliśmy sobie postawić w nawiasie wykrzyknik). Ale właśnie owo podniecenie osłabia wagę argumentów, bo kiedyż sięgnąć do statystyki wyborczej, jeśli nie wówczas, gdy się mówi o większości lub mniejszości w parlamencie? A statystyka ta ma swoją wymowę w pierwszym i drugim sejmie, wybranym bez żadnego nacisku administracji, kół aktualnie będących przy władzy. Otóż ruch narodowy rozporządzał wówczas znakomitą większością polską nie rozporządzając jednocześnie absolutną większością parlamentarną na skutek zblokowania sił mniejszości narodowej, które zawsze swe głosy rzucały na szalę lewicy. A nacjonalizm wychodząc z tego założenia, iż nadszedł wreszcie czas na kultywowanie prawa w niepodległej Rzeczypospolitej w przeciwieństwie do tragicznych stu pięćdziesięciu poprzednich lat, kiedy to cnotą był kult bezprawia, nie usiłował szukać dla siebie władzy na ulicy.

Okazuje się więc, że Stronnictwo Narodowe nie uważa jednak za najważniejszą w Polsce rzecz swego własnego dojścia do władzy, będącego według „Polityki" „mizernym celem" (dziwnie słaby respekt dla zjawiska władzy zespołu mieniącego się imperialistami...) I, gdyby „Polityka" zechciała w analizie swej pozbyć się szablonów myślenia— a sądziliśmy, że na to ją jednak stać — to zastanowiłyby ją powody, dla których, tak potężne stronnictwo nie doszło jednak dotychczas do władzy. Są ludzie w łonie tegoż stronnictwa, którzy tłumaczą to zjawisko właśnie brakiem żądzy władzy, niezdawania sobie sprawy z satysfakcji jej sprawowania, pozostałością pozytywistycznych idei, kultem bezinteresownej pracy i t. p.

„Polityka" nie rozumie, dlaczego Stronnictwo Narodowe nie poparło konstytucji kwietniowej i tłomaczy to tym, że „...chwilowo tego znakomitego instrumentu rządzenia nie mogło mieć w rękach". Powody były inne.

Weźmy ten fakt: ordynacja wyborcza, wywodząca się z ducha tej konstytucji, daje nawet w stosunku do znakomitej większości rdzennych Polaków przywilej głosowania do Senatu wychowankom wiedeńskiego studium rabinackiego. Czy zespół „Polityki" stawiający za nami swe pierwsze w sprawie żydowskiej kroki, rozumie wymowę owego przywileju?

„Zamiast się obrażać na zupełnie słuszne zarzuty, — czytamy — zrobi „Myśl Narodowa" daleko lepiej, jeżeli w końcu ruszy myślą i zacznie wykuwać program, który będzie posiadał jakąś siłę atrakcyjną". Jak widzimy podniecenie „zespołu" poczyna dochodzić do stanu niebezpiecznego. „Myśl Narodowa" była do niedawna jedynym ośrodkiem myślowym całego tego odłamu społeczeństwa, który nie hołdował jakobińskiemu na świat poglądowi posuniętemu aż do zachłystywania się eksperymentem Z.S.R.R.

W kole atrakcyjności tego gatunku idei, którą reprezentuje i którą stworzyła „Myśl Narodowa", znalazła się już potrosze i „Polityka", poczyna znajdować się i cały *régime*. Czy mały to jeszcze sukces?

„Ustawiczne bowiem — czytamy dalej — powoływanie się na 50-letnią tradycję i niewątpliwie wielkie zasługi dawno już zmarłych (z wyjątkiem świeżego jeszcze zgonu Dmowskiego) działaczy, może być co najwyżej tak samo brane pod uwagę, jak pretensje do zasług członka jakiejś tam czterdziestej pierwszej brygady legionowej".

I pomyśleć, że słowa powyższe wyszły spod pióra ludzi należących do młodego pokolenia właśnie jakiejś tam czterdziestej pierwszej brygady legionowej!...

Ostatnie słowa naszej polemiki: „Polityka" zarzuca Stronnictwu Narodowemu brak umiejętności i chęci współpracy z innymi, przeciwstawiając mu swój pozytywny jakoby stosunek do poczynań i pracy u innych.

Uzupełnimy te słowa — u innych, byle nie w Stronnictwie Narodowym, do którego „Polityka" czuje wyraźną aż do jaskrawych świateł niechęć. Niechęć będącą niczym innym, jak tylko obciążeniem przeszłości, pozostałością przekazaną „zespołowi" po jego politycznych przodkach od których się zresztą chętnie i manifestacyjnie odżegnywa.

YZ.

BOLEŚĆ

Przyjdź Królestwo Twoje.
Msza święta się modli Kielichem i Chlebem.
Nad ołtarzem, w witrażu, Chrystus na krzyżu kona.
Blask gromnic świeci się niebem,
Płacz organów i jęk dzwonów — w krzyk się zmienia!...
Ktoś się modli: dziękuję Ci Panie za garb cierpienia,
Przyjdź Królestwo Twoje...
I podniosły się w górę czyjeś wychudłe ramiona...
Chrystus na krzyżu — skonał.

J. WELKE SIWKOWSKA

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM